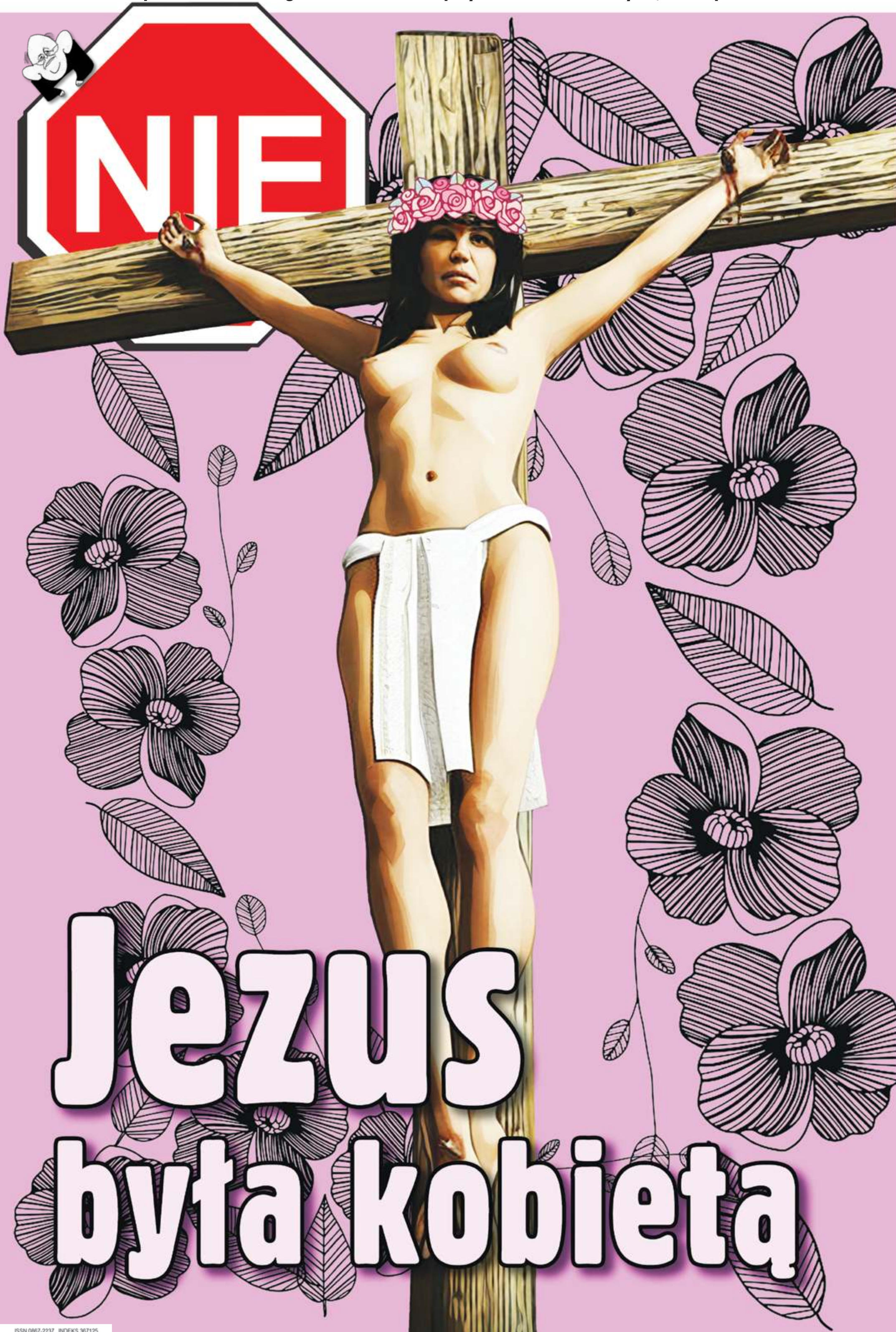


Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 10 (1798) • 7–13 marca 2025



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jezus była kobieta



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

▶ Po tym, jak Trump z Vance’em pokłócili się w Białym Domu z Zelenskim, na polskiej scenie politycznej zapanowała ekscytacja. PiS rzucił się podejmować Trumpa pod nogi – co dało mu asumpt do wygłoszenia kilku popularnych wśród elektoratu uwag antyukraińskich; władza równie skwapliwie okrzyknęła opozycję agentami Kremla, co wszak w każdej kampanii w RP się przydaje. *Dziś staje się jasne, kto w Polsce chce realizować rosyjskie interesy* – ogłosił na X Donald Tusk. – *Niech nikt już nie udaje, że tego nie widzi. Niepodległa Polska w silnej Europie albo Rosja. Twój wybór.* A jak ktoś nie kocha ani Trumpa, ani Zelenskiego, to niech wypierdala na Madagaskar.

▶ Nieprzyjemna wiadomość jest taka, że może tam spotkać Sławomira Mentzena, który jako jedyny kandydat w tym wyścigu dystansuje się do obu stron waszyngtońskiej pyskówki. Nas w tym kontekście szczególnie ujęła wykwinna wymiana uprzejmości między mecenasem Giertychem i doktorem Mentzenem za pośrednictwem redaktora Rymanowskiego. Rymanowski do Mentzena: „*Jesteś Pan po prostu zwykłym, prostym, lekko napuszonym, nienachalnie inteligentnym idiotą, który dla Kremla jest pożyteczny, stąd lansują Pana ich boty i media* – tak napisał do pana mecenas Roman Giertych. Wstrząsnęło to panem?”. Mentzen: „Półtora roku temu wyciszyłem mecenasa na Twitterze”. Wyciszyć mecenasa – też byśmy chcieli...

▶ Na otwartej części rady ministrów premier Tusk pochwalił ministrzycę rozwoju za to, że „podjęła prace nad uwolnieniem do 30 miliardów” z KPO – tak, aby „przesunąć te wydatki na szeroko pojętą obronność”. To mniej więcej dwa razy tyle, ile miało być przeznaczane na naprawę systemu zdrowia, ale po co leczyć, jak można kupić urządzenia do zabijania. „Nadchodzą dni i tygodnie, kiedy bezwzględnie trzeba zawiesić jałowe dyskusje, spory prestiżowe, nieporozumienia koalicyjne” – dodał premier. Słyszeliście kiedyś o jakimś sporze z koalicjantami, którego Donald Tusk nie uznałby za jałowy?

▶ Rafał Trzaskowski, po miesiącach dryfu w prawo – jego szczytowym objawem było wezwanie, żeby zaczepiać żołnierzy na ulicy i dziękować im za służbę – nagle przypomniał sobie, że tak generalnie to jest kandydatem postępowej lewicy. Spotkał się więc w sejmie z kobietami, które go popierają. Wypomniał im, że nie za darmo, albowiem urządził im w Warszawie 17 tys. miejsc w łóbkach i bardzo skutecznie walczył z przemocą domową, a także luką płacową. Po długim monologu, między „zajmowaniem się w sposób kompleksowy zdrowiem dziewczyn i kobiet” i „całkowicie naturalnym skupianiem się na bezpieczeństwie”, wreszcie z niejakim oporem wykrztusił zdanie o „liberalizacji przepisów antyaborcyjnych” okraszone zapewnieniem, że jego stanowisko „w niczym, absolutnie w niczym, nie zmieniło się od tych ostatnich miesięcy i od tych ostatnich lat”. Serio? Musiało nam się wydawać...



▶ Karol Nawrocki z kolei udał się do Szeligów pod Warszawą, gdzie odbył konferencję programową, dość programowo pozbawioną programu. Sporo było w niej za to namiętności – nas szczególnie uradował fragment, w którym Nawrocki przedstawił się sam jako „uparty wizjoner” i obiecał, że otworzy przed nami Amerykę Południową. Sytuacja upartego wizjonera nie jest różowa – pojawił się nawet sondaż, w którym wyprzedził go Mentzen – ale na koniec imprezy wyszedł prezes i ogłosił, że „to jest nasz kandydat i innego nie ma”. Wizjoner jak wizjoner, ale uparty na pewno...

▶ We wtorek nad ranem CBA weszło z drzwiami do domów dwóch byłych komendantów głównych Państwowej Straży Pożarnej, jednego wicegłównego, jednego notabla ze Szkoły Głównej Służby Pożarniczej (obecnie Akademii Pożarniczej) – wszystko w związku z aferą Collegium Humanum. Narażając się na zarzut krytykanctwa, pozwalamy sobie zapytać: a nie można było ich po prostu wezwać? Faceci nie ganiłi z maczetami po ulicy, tylko załatwili sobie lewe dyplomy. Mają domy, rodziny, stopnie generalskie, papierami MBA z Collegium Humanum posługiwali się oficjalnie, więc nawet jak je zeżrą, nic im to nie pomoże. Rzecznik MSWiA Jacek Dobrzyński niejako odpowiedział na to pytanie, wyznając z rozbijającą szczerością, że „dziwi się, że niektórzy nie pamiętają lub nie chcą skorzystać” z klauzuli niekaralności. To taka forma łapówkarskiego świadka koronnego: jak sami się zgłoszą z informacją, komu i ile dali, to się nie wsadzi ich, tylko tych biorących. Pewnie wjazd z drzwiami ma zasieć im w sercach bojaźń bożą.

▶ Rozdali Oscary. Pięć dostał film zatytułowany „Anora” – o rosyjskiej kurwie, która poznaje w Nowym Jorku syna rosyjskiego oligarchy i wychodzi za niego za mąż, co nie podoba się tatusiowi, więc wysłała za dziewczyną rosyjskich siepaczy. W jakiś sposób polska krytyka filmowa doszła do wniosku, że film ów „normalizuje obraz Rosji na Zachodzie”, a co gorsza grają w nim Rosjanie. Jak ujęła to w TVN24 jedna ze specjalistek od kina: „Bardzo się cieszę, że film nie został wyróżniony za drugoplanową rolę męską, bo Jurij Borysow, który otrzymał tę nominację, to jest artysta, który nigdy publicznie nie potępił rosyjskiej inwazji na Ukrainę”. Nie macie wrazenia, że polskim elitom opiniotwórczym wszystko kojarzy się z Putinem jak żołnierzowi z dupą?

AWL

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Luty 2013 r.



Świętej Izabeli

Pamiętacie, jak zbawiciel Kwaśniewski zasiadł między dwoma łotrami, aby ogłosić kolejny świt lewicy? W tej podniosłej, chwytającej Leszka Millera za gardło chwili kobieta mojego życia rzekła z przejęciem: – Popatrz, jaką Kwaśniewski ma piękną szarą marynarkę w czarną kratkę, musisz sobie taką sprawić. Wstałem i żeby być modnym, czyli en vogue, pięć razy strzeliłem w drzwi łazienki. Niestety, nikogo za nimi nie było.

Świętego Łazarza

W przeddzień ogłoszenia przez Kwaśniewskiego, Palikota i Siwca koncepcji Europy Plus przewodniczący SLD oznajmił z mocą, że nigdy nie będzie zespalać się z Palikotem. Sądził, że stawia eksprezidenta pod ścianą i Kwaśniewski odeskoczy od Ruchu Palikota. Pudło. Potem wszyscy komentatorzy jednogłośnie uznali, że skoro Miller powiedział, że nigdy nie pójdzie z Palikotem, to niebawem powlecze się za nim. Jak Miller mówi, że coś zrobi, to przeważnie tego nie robi. Gdy zaś Miller powiada, że czegoś nie zrobi, uczyni to z całą pewnością. Zresztą czy Palikot jest mniej lewicowy od dawnych przyjaciół Leszka Millera: plk. Kuklińskiego, ks. Jankowskiego, nieodżałowanej pamięci Andrzeja Leppera? Na razie inicjatywa Europa Plus zaczyna przyciągać tych wszystkich w Sojuszu, którzy mają nazwiska. Jeden z zastępców Millera

już się zaciągnął, drugi swoim zwyczajem siedzi okrakiem na barykadzie i czeka, na którą nogę skoczyć. Wkrótce liderowi SLD zostanie tylko znany historyk Joński i zjedzony przez Millera poprzednik Napieralski odbywający teraz przy wodzu nauki czeladnicze.

Świętego Modesta

Mamy za sobą ciekawe doświadczenie. Prawie cały naród był przeciw podniesieniu wieku emerytalnego, a PO wraz z Ruchem Palikota przeforsowały to w sejmie. I tenże prawie cały naród pogodził się z decyzją swoich przedstawicieli, a o nieszczęściu już zapomniał.

Świętego Romera

Moda nakazuje bronić Katarzynę, matkę małej Madzi, przed wrednymi brukowymi tabloidami, które przesadzają jej winę, a oskarżoną malują jako potwora doraźnie przebranego za księżową. Ja pragnę skazania Katarzyny, ale moje marzenia wybiegają dalej. Wynajmuję ludzi. Odbijam skazaną z więzienia albo chętniej – z konwoju. Uciekam z tą piękną dziewczyną do ciepłych krajów, mam na oku Indonezję. Ona z wdzięczności daje mi dupy pod palmą, mnie staje. Ona zachodzi. Rodzi Madzię II. Ja duszę dzieciątko, a także topię na pełnym morzu, przywiązując do nóżki minę podwodną. Happy end. Jak to wraził Boy-Żeleński w wierszyku „Pan Esik w Osten-

dzie”: „jeszcze dwie gruszki zjadł do poduszki, wyciągnął nóżki i chrapie już!”.

Świętego Nestora

Chciałbym być psem, gdyż pies może iść po prostu do weterynarza. (Chociaż mój miał już do czynienia z weterynarzem chirurgiem i weterynarzem psychiatrą). Człowieka nikt nie leczy. Chadzam do okulisty z oczami, do psychiatry z głową, do kardiologa, do naczyniowca, do laryngologa, pneumologa, urologa, radiologa i USG-loga, do ortopedy i chirurga żębnego. Dużo zachodu i żadnej wiadomości o ogólnym stanie zdrowia. Starca powinno kroić się na części zgodnie z podziałem medycyny i każdą nosić do właściwego dla niej doktora. Znam faceta, który wierzył, że należy zjadać to, co jemu właśnie dolega. Chodziło o zwierzęcy odpowiednik. Jada więc to wątrobkę, to serce, to flaki, to kości... I tak się leczył, aż dostał szankra na penisie. I tu wyszły na jaw braki rynkowe. Kolega nie wiedział, że w salcesonie lub parówce znajduje wszystko naraz.

Świętej Honoriny

Posel Eugeniusz Kłopotek z PSL oznajmił, że odejdzie z koalicji rządowej, czyli – jak rozumiem – spróbuje obalić rząd, jeśli Tusk wywali z partii Gowina i innych wrogów związków partnerskich. Stronnictwo Kłopotka jest w sejmie jęczymkiem u wagi głosów i Kłopotek go wyciągnął.

□

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Marta Kaczyńska** na konwencji Nawrockiego zapewniła, że wie, czym jest przemysł pogardy. Akurat tygodnik „NIE” zawsze wspierał rozwiązłość seksualną.
- **Szymon Hołownia** uważa, że Parlamentarny Zespół ds. Obrony Polskiego Tataru naraża na szwank powagę sejmku. To ciekawe, że 100 gramów mięsa naraża na szwank powagę tego pierdólnika.
- **Jarosław Kaczyński** podsumował spotkanie Trump-Zelenski, mówiąc, że stało się niedobrze. Spośród wszystkich analiz płynących ze świata ta jest najbardziej przenikliwa.
- 14 marca w kinach zagości film „**Ja jestem niepokalane poczęcie**”. Szerza widownia zapewne i tak wybierze filmy o pokalanych poczęciach.
- **Karol Nawrocki** zapewnił, że nie będzie drugiej tury, bo on wygra w pierwszej. Karol, człowiek który został prorokiem.

MARTA M.

BYŁBYM ŚWIETNYM LIBERAKEM!



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

RYA. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Jak wiadomo, Donald Trump wygrał wybory i zaczął rządzić. Patrząc z niepokojem: co też, w obliczu fenomenu Trumpa, zrobią rozhisteryzowani polscy „mężowie stanu”? Niebezpieczne dla samych siebie i dla zmanipulowanego przez nich społeczeństwa prawicowe i lewicowe (różnie się ponazywali) sieroty po Joe Bidenie, którego starcze podrygi przyczyniły się do tyłu śmierci? Na razie nie udało się im ściągnąć na Polskę kolejnego, może być, że tym razem atomowego, Powstania Warszawskiego.

W najnowszym „NIE” (9/2025) ukazało się Agnieszki Wolk-Łaniewskiej omówienie sławnego przemówienia profesora Jeffreya Sachsa o przyczynach wojny na Ukrainie, wygłoszonego niedawno w Parlamencie Europejskim. To ważny i odważny artykuł, który przełamuje znowę polskich „nareszcie wolnych mediów” i ich „ekspertów”, ukrywających przed Polakami prawdę, o której mówi Sachs (a także prof. prof. John Mearshimer, Noam Chomsky i tylu innych). Wolk-Łaniewska pokazuje, że także w Polsce lewica nie musi być zakłamaną i irracjonalną. W zatęchłej, przesyconej kłamstwem, rusofobią oraz prymitywną proukraińską propagandą i cenzurą atmosferze nad Wisłą słowa Sachsa i Wolk-Łaniewskiej są jak powiew zwiastującego wiosnę wilgotnego marcowego wiatru.

Brawo!

Bogusław Czarny, Warszawa

Pani Agnieszko, nie rozumiem, czemu tylko dlatego, że jest się lewicą, trzeba być przeciwko większym wydatkom na zbrojenia, tak jak Pani. Bo co? Putin się tym zachwyci i przestanie być zagrożeniem, czy jak? To jest człowiek KGB i rozumie tylko pozycję siły. Słabeuszy polknie i tyle. Dziwi mnie, że tak inteligentna osoba jak Pani tego nie dostrzega.

Tym bardziej że tragiczny stan polskiej armii (niemiecka nie lepsza) od początku był tematem (bardzo celnych) artykułów w „NIE”. Teraz to się zmienia, i co, znowu łą?

Ja też jestem przeciwnikiem wojen, ale trzeba być realistą: tak jak do komunizmu, tak do trwałego pokoju wszystkich ze wszystkimi ludzkość nigdy nie dorośnie. Przykład Ukrainy pokazuje, że zbrojenie się po to, żeby nie zostać napadniętym, jest mniejszym złem niż na- iwnne liczenie na dobre chęci dyktatorów.

Bruno, Niemcy

Bartek Majeran w rubryce „Listonosz doniośł”, „NIE” nr 7/2025 nie widzi różnicy „w treściach obu hymnów” (polskiego i ukraińskiego), polemizując z listem H. Szydłowskiej opublikowanym w nr 6/2025. Ja widzę. W polskim hymnie nie ma mowy o krwawym zdobywaniu obcych terytoriów, że przypomnę jedno zdanie z hymnu ukraińskiego: „Staniemy bracia do krwawego boju od Sanu do Donu”.

Bogdan Pokrowski

Witam.

Bardzo dobrze napisał Bartek Majeran. Nasz hymn, tak jak innych państw, zawiera wojownicze nastroje. Machania szabelkami, aby coś odebrać itp. Czas najwyższy, aby stworzyć dla Polaków nowy hymn, odpowiedni do nowych pokojowych nastrojów.

Pozdrawiam Krycha

Brutalna prawda jest taka, że Europa nie zastąpi USA na Ukrainie.

Ale namieształ ten Trump

Prawie wszystkie wojny, jakie stoczyła ludzkość, kończyły się w jeden sposób: rozejmem, negocjacjami i kompromisowym pokojem. Wygląda na to, że tak właśnie skończy się trzyletnia wojna rosyjsko-ukraińska. Zarządził to w pierwszym miesiącu swej nowej kadencji prezydent USA Donald Trump. A Stany Zjednoczone mają w ręku klucz do tej wojny: Ukraina stawia już trzy lata opór znacznie silniejszej Rosji, walcząc amerykańską bronią i za amerykańskie pieniądze. Teraz Trump doszedł do wniosku, że wojna ta jest nie do wygrania i powinna być natychmiast zakończona metodą: pokój za terytorium.

1. Strona ukraińska i jej europejscy sojusznicy mówią o sprawiedliwym pokoju i o odzyskaniu przez Ukrainę utraconego terytorium. Za sprawiedliwy uważają taki pokój, który karze agresora i satysfakcjonuje ofiarę. Niestety najczęściej na wojnach bywało inaczej, negocjowany pokój z reguły zawierano ma takich warunkach, jakie walczące strony uzyskały na polu boju.

Te zaś pod względem terytorialnym nie są dla Ukrainy korzystne. Ukraina obroniła swoją niepodległość, ale nie terytorium. Trump gotów jest to zaakceptować. Takich propozycji z jego strony można było oczekiwać, głosił je od dawna. Wynik wyborów amerykańskich wydaje się świadczyć o tym, że większość tamtejszego społeczeństwa to stanowisko w sprawie wojny na Ukrainie podziela. Albo Trump uwiódł swoimi poglądami rodaków, albo poprawnie odczytał ich preferencje; stawiam na to drugie.

Trump jednakże szaszkował świat nie tylko swą propozycją pokojową i energicznymi zabiegami o jej realizację. Bardziej jeszcze interpretacją genezy tej wojny. Twierdzi, że wojnie można było zapobiec bez trudu, że pokój mógł być wynegocjowany bez wojny – na podobnych jak obecnie lub lepszych dla Ukrainy warunkach. Odpowiedzialnością za zmarnowanie tej szansy obarcza swego poprzednika w Białym Domu i prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo. Mówiąc otwarcie, Trump sądzi, że Biden i Zełenski prowokowali Rosję i popychali do wojny. Tylko się przeliczyli co do wyników. Jest zdumiewająco pobłażliwy dla Putina. Czy w jego rozumowaniu zawiera się jakieś racjonalne jądro?

2. Fernand Braudel, wybitny francuski historyk, wśród czynników zapewniających długie trwanie relacjom między narodami i państwami, granicom, sojuszom itp., wymienia przede wszystkim geografie i zasłóści historyczne, także religijne. Z punktu widzenia tych czynników Ukraina jest najważniejszym w Europie sąsiadem Rosji i wzajemnie.

Oba kraje mają wspólne początki swego historycznego bytu. Przez trzy wieki miały wspólne państwo – Ruś, formujące się wokół dwu ośrodków, Połocka na północy i Kijowa na południu, usytuowanych na szlaku handlowym ze Skandynawii do Bizancjum, od Waregów do Greków. Ośrodek kijowski był od połockiego bogatszy i silniejszy do czasu najazdu Mongołów Czyngis Chana w XIII w. Potem przez siedem wieków historia krzywdziła Ukrainę.

Południową, kijowską część Rusi Mongołowie kompletnie zrujnowali i wyludnili, północną – mniej ich pociągającą – tylko zwasalizowali. W rezultacie ta północna po dwu wiekach zaczęła odradzać się i dała początek Rosji. Południowa zaś popadła w zależność od Litwy, a po Unii Lubelskiej dostała się Polsce szlacheckiej, która zamiast potraktować ją jako cenny trzeci człon federacji polsko-litewskiej, przekształciła we własną kolonię. Przez kilka wieków brutalnie uciskana i wyzyskiwana. Warstwy wyższe tej kolonii zostały spolonizowane. Gros polskiej arystokracji jest rusko-litewskiego pochodzenia – w tym dwaj z trójki królów elekcyjnych mieniących się Piastami: Michał Korybut Wiśniowiecki i Stanisław August Poniatowski (po kądzieli Czartoryski).

Buntująca się przeciw Polsce chłopsko-kozacka Ukrainaw połowie XVII w. weszła dobrowolnie w rosyjskie poddaństwo, bliższe jej religią – prawosławiem. Wywiązało się kilka kolejnych wojen polsko-rosyjskich o Ukrainę. Najczęściej kończyły się one podziałem Ukrainy. Po II wojnie światowej już cała Ukraina znalazła się we władaniu rosyjskiego w istocie Związku Radzieckiego.

3. Rozpad ZSRR połączony był z forsowaną przez Zachód – i dość lekkomyślnie przyjętą – zasadą automatycznego przekształcenia wewnętrznych administracyjnych i pozabawionych znaczenia politycznego granic w nowe międzypaństwowe granice obwarowane prawem międzynarodowym. W wyniku tego porozumienia Ukraina znalazła się pod względem terytorialnym w sytuacji uprzywilejowanej, znacznie korzystniejszej, niż wynikałoby to z historii i stanu etnicznego.

Po raz pierwszy w dziejach granice Ukrainy jednocześnie oparły się na wschodzie o Don, a na zachodzie o San. Po raz pierwszy też w jej granicach znalazł się Krym. Konsekwencją tego „awansu” terytorialnego była wieloetniczność Ukrainy: 20 proc. ludności rosyjskiej i 50 proc. rosyjskojęzycznej. Władze radzieckie (czytaj rosyjskie) dość hojnie nadzielały republiki narodowe obszarami z ludnością rosyjską, upatrując w tym czynnik sprzyjający rusyfikacji. W Kazachstanie ludność słowiańska (rosyjsko-ukraińska) sięgnęła 70 proc. całej populacji. Już 100 lat temu Roman Dmowski przewidywał, że taka sytuacja spowoduje ostry konflikt rosyjsko-ukraiński.

Tak ukształtowane państwo ukraińskie miało szanse przetrwać jedynie pod warunkiem zachowania neutralności politycznej w rywalizacji Rosji z państwami NATO oraz obdarzenia obszarów z przewagą rosyjskiego zaludnienia autentyczną autonomią.

Taką opinię wyrażał guru amerykańskiej polityki zagranicznej prof. Henry Kissinger.

W rzeczywistości przez pierwsze dziesięciolecie po rozpadzie Związku Radzieckiego prezydenci Ukrainy respektowali zasadę politycznej neutralności swego państwa w stosunku do Rosji i NATO; państwo ukraińskie miało w miarę poprawne relacje z obu stronami. Później neutralność ta została zakwestionowana: z jednej strony – przez rusofobicznie nastawione państwa europejskie, głównie z dawnego bloku radzieckiego; z drugiej – przez nacjonalistów zachodnioukraińskich, którzy w obu rewoltach majdanowych zdobyli wpływ na ukraińską politykę.

Ci nacjonalisci, ideowi epigoni OUN i UPA, wielbiciel Stepana Bandery, nie byli – jak mylnie ich kwalifikuje Putin – faszystami. Na wzór swoich protoplastów byli to ideowi zwolennicy nacjonalizmu, gotowi do ofiarnej walki i poświęceń dla swego narodu. Niestety okazali się też niebezpiecznymi ryzykantami i politycznymi głupcami. Narodowi, który kochali, wyrządzili wielkie szkody.



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

fikowanie wysiłku wojennego bez ryzyka załamania gospodarczego.

Europejskie kraje nie są zaś w stanie zastąpić amerykańskiej asystencji na Ukrainie, zwłaszcza militarnej. Nie posiadają wystarczających zasobów uzbrojenia ani zdolności wytwórczych. Mogłyby je rozwinąć, ale to wymagałoby czasu. Poza tym nie są jednolite. Nawet gdyby wszystkie podniosły nakłady zbrojeniowe do poziomu 4 proc. PKB, spowodowałyby to jedynie wzmocnienie 27 narodowych armii, w większości dzięki importowanej, a nie własnej broni (vide Polska). Byłby to rezultat nieporównywalny z tym, jaki przy podobnym wysiłku osiąga jeden wielki kraj typu USA, Chiny czy nawet osłabiona Rosja.

Postulat powołania europejskiej armii trzeba na razie między bajki włożyć. Poza Niemcami i Francją sprzeciwiają się temu wszystkie pozostałe kraje Unii Europejskiej – w obawie, że w połączeniu ze wspólną walutą musiałoby to prowadzić do jej przekształcenia w federacyjne państwo na wzór Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Dla wielu Europejczyków to perspektywa nawet zachęcająca, ale – na razie – nie dla większości. Warto przypomnieć, że przekształcenie Stanów Zjednoczonych z dość luźnej federacji w scentralizowane państwo federalne spowodowała wojna secesyjna, która pochłonęła 10 proc. ówczesnej ludności Stanów. Wniosek: Europa na Ukrainie nie zastąpi USA, nadal potrzebuje ich asystencji. Z tego powodu, nawet bocznie się narzekając, poprze Trumpa i jego plan.

5. Ostatnio opinią publiczną wstrząsnął nieoczekiwane ostry kryzys w stosunkach ukraińsko-amerykańskich, zainicjowany i spowodowany przez samego Trumpa. Pod pretekstem podpisania już wynegocjowanej umowy o wspólnej eksploatacji złóż mineralnych na Ukrainie zaproszono prezydenta Zełenskigo do Białego Domu. Tutaj jeszcze przed podpisywaniem tego układu na oczach prasy i publiczności Trump i jego wice Vance brutalnie zaatakowali Zełenskigo. Besztali go jak ostatniego za opór wobec pokojowego planu Trumpa, za to, że igra z trzecią wojną światową, że nie szanuje USA itp. Zbaramiały Ukrainiec płał się w odpowiedziach. Ostatecznie Trump zerwał negocjacje i wyprosił Zełenskigo z Białego Domu: „Wrócisz, jak będziesz gotowy na pokój, a jeśli chcesz dalej walczyć, to walcz sam bez nas”...

Wielu sympatyków Ukrainy było wstrząśniętych. Zdali sobie sprawę, że zatrzymanie amerykańskiej asystencji spowodowałoby militarną katastrofę Ukrainy. Nawet nie z powodu broni, gdyż jakieś jej zapasy pozostały. Ukraina nie ma jednak zwiadu satelitarnego, a bez tego cała flota dronów i HIMARS-ów byłaby bezsilna.

Ameryka może z dnia na dzień oślepić wojsko ukraińskie, wstrzymując współpracę wywiadowczą. Co mądrzejsi przyjaciele Ukrainy ostro potępiają Trumpa, ale nieco ciszej zachęcają Zełenskigo do pojednania się z nim za wszelką cenę – to znaczy do ustępstw.

Innego wyjścia z tego kryzysu nie widzą.

6. Gdy rodził się pakt północnoatlantycki, guru tego procesu, gen. Hastings Ismay, zapytany o celowość tego przedsięwzięcia, odpowiedział: *To keep America in, Russia out, Germany down!* W wolnym przekładzie: po to, aby trzymać Amerykę w Europie, Rosję na dystans, a Niemcy za mordę!

Z tej dyrektywy człon niemiecki stracił swe znaczenie, rosyjski po upadku ZSRR i degradacji siły Rosji osłabił, amerykański natomiast pozostaje w mocy. Na razie wygląda na to, że Trump postawi na swoim. Czeka nas nowa edycja Pax Americana; niestety niezbyt sympatyczna, taka chamowata, choć zapewne lepsza niż wojna.

M.Z.

Czy prezydent USA zakaże jedzenia pałeczkami?

Widok ukraińskiego „sługi narodu”, potraktowanego przez amerykańskich prezydentów jak służącego, przypomina niechlubne dzieje zachodniego imperializmu. Kiedy mawiano, że Wielka Brytania nie ma politycznych przyjaciół. Ma tylko swoje interesy.

Dziś prezydent USA Trump buduje Wielką Amerykę na podobnych zasadach. Nie bawi się w dyplomatycki Wersal, odrzuca popularną w Unii Europejskiej demokratyczno-wolnościową frazeologię: braterstwo demokratycznych państw, poszanowanie praw człowieka, solidarny opór przeciwko agresji militarnej. Obcą konserwatywnym trumpisto-muskistom.

Taka Unia nie jest potrzebna prezydentowi Wielkiej Ameryki. Podobnie jak NATO zafiksowane na obronę „demokratycznego Zachodu”. Dziś archaiczne.

W czasie zimnej wojny NATO i kolektywny Zachód musiały być werbalnie demokratyczne i wolnościowe, bo konkurowały z autorytarnym ZSRR i niedemokratycznym Układem Warszawskim.

Dziś ZSRR już nie ma. Wszystkie państwa dawnego Układu Warszawskiego zapisały się do NATO. Po co dalej wydawać amerykańskie pieniądze na powstrzymywanie zagrożenia, którego Wielka Ameryka już nie odczuwa?

W czasie ostatniej sesji ONZ, jej Zgromadzenie Ogólne głosowało za rezolucjami poświęconymi wojnie w Ukrainie. Państwa członkowskie miały do wyboru dwa projekty. Lan-sowany przez państwa Unii Europejskiej, wskazujący Rosję jako winnego wojny agresora. I alternatywny, firmowany przez administrację USA, niewspominający o rosyjskiej agresji.

Doszło do głosowania i pierwszy raz w XXI w. USA głosowały przeciwko Unii Europejskiej ramie w ramie z Rosją, Białorusią, Koreą Północną, Nikaragwą, Sudanem. Państwami określanymi jeszcze niedawno przez administrację USA jako „oś zła”. Zwalczanymi przez nią w organizacjach międzynarodowych.

Trump w ruskiej onucy

Dodatkowo amerykański projekt wsparły unioeuropejskie Węgry oraz Izrael. Pewnie dlatego ortodoksyjnie antyizraelski Iran wstrzymał się od głosu.

Pomarańczowy leci do Moskwy

Od głosu wstrzymały się też Chiny. Bo Pekin konsekwentnie kreuje się na odpowiedzialne mocarstwo i unika każdej sytuacji tracącej statutem wasala innego mocarstwa.

Chiny uchodzą w polskich mediach za komunistycznego sojusznika Rosji. Są za to regularnie plugawione. Podobnie sojusznicy Indie mają w tych samych mediach taryfę ulgową, bo uważane są tam za demokratyczne.

Jednak w miarę postępu w budowie „trumpizmu-muskizmu” w USA może dojść do nowych sojuszków. Koncertu mocarstw grającego nowe melodie.

Prezydent Trump dał niedawno pozwolenie na odmrożenie relacji z Rosją. Nie uważa Moskwy za zagrożenie dla podstawowych interesów USA. Chce szybko zakończyć wojnę militarną z Rosją, nawet kosztem interesów wspieranej dotychczas przez USA Ukrainy.

Ta interesuje go teraz jedynie jako źródło rzadkich surowców, z których Chiny mogą uczynić broń w wojnach celnych z USA. Podobne surowcowe interesy prezydent Trump dostrzega we

współpracy z Rosją. Czy będą one początkiem nowej dłuższej przyjaźni?

W zeszłym miesiącu prezydent Aleksander Kwaśniewski udzielił obszernego wywiadu „Gazecie Wyborczej”. Wspomniał w nim: *Jeszcze przed na-*

paścią Putina na Ukrainę w kręgach republikańskich usłyszałem, że może pora powtórzyć patent Kissingera i Nixona, tylko z przeciwnym wektorem: skoro teraz głównym konkurentem i problemem Ameryki są Chiny, to trzeba zbliżyć się do Rosji. Której zależy, żeby Chiny nie były zbyt mocne, bo Rosja przy nich karleje. Tylko że Nixon z Kissingerem nie podważali stosunków z Europą.

Z kolei Onet opublikował wywiad z płk. Andrzejem Derlatką. *To Chiny stanowią dzisiaj największe zagrożenie dla amerykańskich interesów gospodarczych, społecznych i politycznych. Chińczycy od lat niepowstrzymanie idą do przodu i zwiększają swój potencjał militarny oraz gospodarczy. Ameryka nie nadąża i musi się skoncentrować na tym głównym zagrożeniu. Trump zapewne uważa, że uda mu się wyrwać Rosję z tego wasalizmu, w który popadła w stosunku do Chin. Pierwą alternatywą jest gra mocarstw, która będzie polegała na tym, że trzy główne mocarstwa na świecie będą rozgrywały między sobą swoje interesy. Trump wciąż kieruje się ideą Rosji jako pierwszej przeciwwagi dla Chin. Wszystkie inne sprawy podporządkowuje*



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cyfrowy gang-bang

America First Trade Policy wtyka palec w dupę Unii Europejskiej. Bez lubrykacji.

Z końcem lutego pojawiły się doniesienia o organizowanych przez Ministerstwo Cyfryzacji z udziałem organizacji pozarządowych i biznesowych konsultacjach dotyczących podatku cyfrowego dla big techów. Już pal sześć, że kluczowe decyzje w tej sprawie leżą w gestii Ministerstwa Finansów – z podpisanego przez Donalda Trumpa memorandum wynika, że amerykańskie korporacje będą się wypasać na cudzym za darmo.

Kasa, misiu

Temat wprowadzenia specjalnego podatku dla dużych firm technologicznych, które osiągają niebotyczne zyski poza USA – takich jak Google, Amazon czy Meta – od lat przewija się w debacie publicznej i był przedmiotem różnych zapowiedzi oraz dyskusji, zarówno w kraju nad Wisłą, jak i na forum międzynarodowym. Potencjalne wpływy z objęcia daniną konglomeratów zza oceanu robią wrażenie. Według szacunków międzynarodowej Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) globalne wpływy z podatku cyfrowego mogłyby wynieść od 50 do 100 mld rocznie w zależności od wdrożonych regulacji.

Digital Services Tax (DST) – bo o nim mowa – funkcjonuje już w różnych formach w części wspólnoty UE. Francja w 2019 r. wprowadziła tzw. taxe GAFA w wysokości 3 proc. na przychody z usług cyfrowych – takich jak reklama online, sprzedaż danych użytkownikom i pośrednictwo cyfrowe – dla firm globalnych o przychodach powyżej 750 mln euro i przycho-

dach we Francji powyżej 25 mln euro. W Austrii identyczną belkę dochodów big techów opodatkowano 5-procentową daniną. Na podobne ruchy zdecydowały się Włochy, Hiszpania i będąca już poza UE Wielka Brytania. Polska od lat wystawia swe wdzięki za darmo – wynoszącą 1,5 proc. daninę na przychody z usług audiowizualnych (streamingów VOD) na rzecz Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej trudno traktować poważnie. A szkoda; przy stawce 3 proc. i rynku cyfrowym wartym 9 mld zł (według raportów branżowych, np. IAB Polska, wydatki na reklamę online w roku 2023 przekroczyły wartość 7 mld zł i przewiduje się ich dalszy wzrost), Polska lekką ręką mogłaby chapnąć ok. 300 mln zł. rocznie. Przy stawce 5 proc. byłoby to ok. 500 mln zł. Dla dziurawego jak hełm warszawskiego powstańca budżetu nie jest to kwota zawrotna – ale skoro leży na ziemi, głupio nie podnieść. Niestety, polski serwilizm wobec USA – a także lenistwo – sprawiły, że kasa przeszła koło ojczyźnianego nosa. Co gorsza, świeże zapowiedzi Trumpa jednoznacznie wskazują, że na zbieranie fruktów już za późno – bo świat ma nadstawić się amerykań-

skim molochoch do ruchania za darmo i z pocałowaniem ręki.

Pomarańczowa ofensywa

21 lutego prezydent Donald Trump podpisał memorandum w sprawie obrony amerykańskich firm i innowatorów przed – jak to elegancko określono w dokumencie – zagranicznymi wymuszeniami. Amerykańska administracja, w której mózgi dzwonią jak kamerton, uznała, że podatek DST łupi ichniejsze firmy, przez co gospodarka USA nie tylko jest okradana, ale traci na konkurencyjności. Co prawda w tym samym głoście wyłuszczone, że pod względem PKB cyfrowa gospodarka Stanów Zjednoczonych była w ostatnich latach większa niż gospodarki Australii, Kanady i większości państw członkowskich Unii Europejskiej razem wzięte – ale przecież nie o logikę się tu rozchodzi.

Dominację amerykańskiej gospodarki cyfrowej napędzają najnowocześniejsze amerykańskie firmy technologiczne oraz amerykańska innowacyjność i pracownicy, którzy za nimi stoją – a rządy zagraniczne, zamiast zapewnić sukces własnym przedsiębiorstwom, opodat-

kowały sukces mózgów z USA. Trump zaś zamierza położyć temu kres.

Administracja zbada, czy jakiekolwiek działania i praktyki w Unii Europejskiej lub Zjednoczonym Królestwie zmuszają amerykańskie firmy do opracowywania lub wykorzystywania produktów i technologii w sposób sprzyjający cenzurze lub szeroko pojętej wolności słowa. Przepisy regulujące sposób interakcji amerykańskich korporacji z konsumentami w Unii Europejskiej – takie jak ustawa o rynkach cyfrowych i ustawa o usługach cyfrowych – znajdują się pod lupą ludzi Mango Mussoliniego. Pojawiły się też groźby: *Rządy zagraniczne, które podejmą kroki zmuszające amerykańskie przedsiębiorstwa do przekazania ich własności intelektualnej, wywołają reakcję ze strony administracji. Jak to należy czytać? Z potem na dupie.*

Kijem w garb

Cyfrowe podwórka krajów unijnych – a szczególnie Polski – są w porównaniu do technologicznych carów zza Atlantyku słabo opierzone i zarazem solidnie do nich uwiązane. Firmy takie jak Google, Microsoft i Amazon zara-

temu tematu – mówił były szef Agencji Wywiadu.

W grudniu zeszłego roku byłem w Pekinie na prestiżowej konferencji poświęconej relacjom Chin z państwami Europy Środkowo-wschodniej. Zorganizowanej oficjalnie przez chińską Akademię Nauk Społecznych. Gospodarze zadbali nie tylko o komfortowe warunki. Organizowali także liczne kulturalowe pogaduszki z chińskimi analitykami. Bez tematów tabu, propagandowej frazeologii, formalnych ograniczeń.

Zauważyłem, że byliśmy wtedy intensywnie pytani przez gospodarzy o opinie Europejczyków na temat „odwróconego Kissingera”. Myślałem, że zapraszają nas jedynie do gry intelektualnej, spekulacji „science political fiction” o zmianie globalnych sojuszy.

Teraz chył czoło przed mądrością i pragmatyzmem chińskich elit politycznych przygotowujących pewnie analizy wszelkich scenariuszy politycznych – nawet tych definiowanych jako niemożliwe.

Potem na Tajwan

Warto przypomnieć, że na początku lat 70. XX w. sojusz USA – państwa walczącego wtedy z komunizmem w Wietnamie – z jawnie komunistyczną Chińską Republiką Ludową też uważano za niemożliwy.

Zwłaszcza że wówczas administracja USA niezłomnie popierała tajwańską Republikę Chińską. Dzięki wsparciu USA ambasador Tajwanu zasiadał w ONZ. Z Republiką Chińską stosunki dyplomatyczne utrzymywały liczne państwa sojusznicze USA.

Jednak z inicjatywy prezydenta Nixona i i jego doradcy Kissingera zawarto sojusz polityczny z ChRL przeciwko ZSRR. Dzięki niemu Chińska Republika Ludowa stała się stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Republika Chińska zaś musiała opuścić ONZ i liczne organizacje międzynarodowe. Przestała być uznawana za reprezentację Chin. Dziś jej ambasady działają w wielu państwach, także w Polsce, ale wszędzie pod przykrywką biur handlowych.

Obecnie ZSRR nie istnieje. Rosję niszczy ukraińska wojna i liczne sankcje gospodarcze. Nieskuteczne w pełni, bo wiele państw, przede wszystkim Chiny i Indie, ich nie stosują. Uzależniając od siebie gospodarkę Rosji.

Tak dalej być nie musi, jeśli prezydent Trump uzna, że w interesie wielkich USA jest zawieszenie walk

biają nie tylko na reklamach i jawnym już okradaniu wydawców cyfrowych (chociażby prasowych). Wspomniani giganci poza możliwością wyszukiwania oraz zakupu w sieci przez Kowalskiego majątek i wibratora dostarczają infrastrukturę chmurową polskim firmom, start-upom i sektorowi publicznemu.

Przykładem jest obsługa platform e-commerce czy systemów IT dużych przedsiębiorstw. Sam Microsoft zarabia na usługach chmurowych dla biznesu (banki, administracja) oraz na subskrypcjach popularnych programów jak Office 365 czy Teams, popularnych w firmach i szkołach. Wszystkie big techy korzystają z danych generowanych przez użytkowników (wyszukiwania, polubienia, zakupy), które następnie monetyzują poprzez ulepszanie reklam targetowanych lub sprzedaż analiz biznesowych firmom.

Póki co warunki grzebania w danych określają unijne przepisy – z zapowiedzi Trumpa wynika jednak, że nie cofnie się przed niczym, żeby drzwi do tego kur-nika stanęły dla amerykańskiego lisa otworem i bóg nieistniejący raczy wiedzieć, co robi ze zgromadzonymi tam fantami.

Koniec historii odwołany

O co naprawdę chodzi Przywódcy Wolnego Świata

Koniec wojny na Ukrainie wydaje się na wyciągnięcie ręki. Donald Trump wprawdzie nie wygasił konfliktu w ciągu doby, lecz intensyfikuje działania dyplomatyczne mające skłonić Ukrainę do ustępstw i przywrócić Stanom Zjednoczonym wiarygodność w oczach Rosji. Ostatnie tygodnie obfitowały w kurtuazyjne wypowiedzi amerykańskiego prezydenta pod adresem Władimira Putina i rosyjskich oligarchów, którym zaproponowano wykupienie za 5 mln dolarów prawa stałego pobytu w USA. „To bardzo mili ludzie” – ocenił oligarchów Trump. Między resortami dyplomacji obydwu mocarstw trwają intensywne negocjacje, które zainaugurowano 18 lutego w stolicy Arabii Saudyjskiej.

W poniedziałek Trump odciął wszelką pomoc wojskową dla Ukrainy – także tę, która była już w drodze. *Prezydent jasno dał do zrozumienia, że skupia się na pokoju* – wytłumaczył chcący zachować anonimowość informator nowego oficjalnego organu trumpizmu, dziennika „The Washington Post”. Decyzja – dodał – może zostać cofnięta, *jeśli Zelenski wykaże się dobrą wolą i podejmie wysiłek uczestniczenia w rozmowach pokojowych*.

Monroe wiecznie żywy

Wydawałoby się, że rozmowy z Ukrainą pójdą znacznie łatwiej – jest to sojusznik Stanów Zjednoczonych w pełni uzależniony od pomocy militarnej i gospodarczej ze strony państw kolektywnego Zachodu, a nie globalne mocarstwo atomowe. W ostatnich tygodniach administracja USA domagała się oddania Amerykanom kontroli nad ukraińskimi złożami metali ziem rzadkich, w ramach odwzajemnienia się za trzy lata wojskowej i ekonomicznej pomocy. Donald Trump był w tym zakresie nieustępliwy, a pozycja Ukrainy jest obecnie niezwykle słaba. Gdy gruchnęła wiadomość o spotkaniu Trump-Zelenski, media zgodnie podały, że Ukraina skapitulowała przed żądaniami amerykańskiego przywódcy i wizyta w Białym Domu będzie skutkowałą podpisaniem umowy. Stało się jednak inaczej.

Przywódca Stanów Zjednoczonych ugościł Wołodymira Zelenskiego w Gabinetcie Ovalnym, gdzie na oczach całego świata odegrano medialny spektakl, jakiego polityka międzynarodowa dotychczas nie знаła. „Przywódca wolnego świata” do spółki ze swoimi zastępcą J.D. Vance’em przez niemal godzinę strofował gościa – za niewdzięczność, nieodpowiedzialność i brak zdrowego rozsądku. Emocje całkowicie przysłoniły powód przyjazdu Zelenskiego do Waszyngtonu, czyli porozumienie dotyczące eksploatacji złóż metali ziem rzadkich. Umowy nie podpisano, nie przybliżono się też do zakończenia wojny.

Szopka w Gabinetcie Ovalnym powinna jednak uświadomić nawet największym niedowiarkom – których w Polsce mamy na pęczki – że amerykański imperializm nie jest bajką wymyśloną przez radzieckich propagandystów, lecz faktem, boleśnie odczuwalnym w wielu regionach świata.

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ „Gazeta Wyborcza” opisuje, jak doszło do zablokowania amerykańskiej pomocy wojskowej dla Ukrainy: *Jest [to] pokłosiem piątkowego spotkania (...). Podczas spotkania doszło do niespodziewanej ostrej wymiany zdań, w wyniku której Zelenski został wyproszony z Białego Domu. W weekend Trump grał w golf, ale w poniedziałek odbył naradę ze swoimi współpracownikami. (...) Po nich ogłosił, że Ameryka wstrzymuje pomoc wojskową dla Ukrainy. Czekamy, aż ktoś zbada wpływ gry w golf na amerykańską politykę.*

★ Podczas dyskusji na platformie X doradca Trumpa Elon Musk zgodził się z tezą, iż Wołodmyr Zelenski jest dyktatorem, wysyłającym niewinnych Ukraińców na

śmierć, aby utrzymać się u władzy, który przegra wybory, a jego następca pośle go do więzienia za pranie brudnych pieniędzy. Odnosząc się do sprawy, Musk oznajmił, że choć to niemoralne, Zelenski [zamiast do więzienia] powinien trafić do neutralnego kraju, w którym zostanie objęty amnestią. Wg Muska umożliwi to pokojową transformację Ukrainy i powrót kraju na ścieżkę demokracji. Na miejsce azylu proponujemy Kolumbię.

★ Szef FBI Kash Patel przypomniał nieco już zapomnianą, ale wciąż – wskutek odmowy współpracy ze strony Kijowa – niewyjaśnioną sprawę tragicznego wypadku w Przewodowie, gdzie nadlatująca z Ukrainy rakietą zabiła dwóch Polaków. Zelenski

wyszedł na światową scenę i powiedział: „Rosja wystrzeliła rakietę w stronę Polski”, co byłoby aktem wojny. Okazało się, że Rosja nie wystrzeliła takiej rakiety – oznajmił Patel.

★ Zwycięstwo Donalda Trumpa skłoniło niektóre dotychczas bezkrytyczne wobec Waszyngtonu osobistości do trzeźwego spojrzenia na USA. Prof. Roman Kuźniar na łamach „Przeglądu” tak opisuje społeczeństwo amerykańskie: *Zbigniew Brzeziński napisał, że ze względu na bardzo niski poziom edukacji publicznej, wulgarną kulturę masową i kilka innych właściwości amerykańskiego systemu społecznego on się nie zdziwi, je-*



żeli za jakiś czas Amerykanie wybiorą na prezydenta szarlatana. (...) Amerykańską demokrację zniszczyli oczywiście głównie pieniądze. Jeżeli jeden Musk mógł wydać 250 mln dol. na kampanię Trumpa, to o czym mówimy? Notabene pisał o tym już Oswald Spengler pod koniec I wojny światowej – że pieniądze zniszczą demokrację. I to się stało. W Polsce Ludowej opisany przez Kuźniara stan rzeczy określano mianem „demokracji burżuazyjnej”.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

w Ukrainie i sojusz gospodarczo-polityczny z Rosją. Blokujący dalszy wzrost gospodarczy i ekspansję polityczną ChRL.

A prezydent Putin i jego ekipa uznają, że dość już roli junior partnera w relacjach z rozpychającymi się wszędzie Chinami.

Oczywiście tym razem ChRL nie zostanie usunięta z ONZ ani innych organizacji międzynarodowych. Ale trumpiści i putiniści mogą odrzucić politykę „jednych Chin” i nawiązać pełne relacje dyplomatyczne także z tajwańską Republiką Chińską. Wzmocnić z nią współpracę polityczną i gospodarczą, zmuszając Pekin do większej uległości transakcyjnej.

Wtedy prezydent Trump poleci na Tajwan i obieca nowe gwarancje bezpieczeństwa. Za udziały w produkowanych tam deficytowych na świecie mikroprocesorach.

Prezydent Putin uzyskać może od administracji USA zniesienie sankcji, a potem prawo wolnoamerykanki w państwach uznawanych za strefy rosyjskich wpływów.

Taki transakcyjny sojusz wydaje się w przepojonej demokratycznymi wartościami Europie niemożliwy. Bo jakże prezydent USA, ciągle jeszcze przywódca „demokratycznego świata”, miałby wspierać ściganego przez europejski Trybunał rosyjskiego „przestępcę wojennego” i „ludobójcę”?

Ale nie raz już administracja USA ludobójcom pomagała.

W 1979 r. wojska Wietnamu wspomniały khmerskich rebeliantów, zajęły Phnom Penh, obalając reżim Pol Pota. Powszechnie oceniany jako zbrodniczy. W Kambodży powstał nowy rząd. Ponieważ wspierał go Wietnam, uważany wtedy przez Waszyngton za państwo wrogie, to administracja USA nie uznała tego rządu na arenie międzynarodowej.

Wspierała za to politycznie, militarnie i pieniężnie ukrywających się w dżungli rebelianckich partyzantów Pol Pota. CIA wybielała ich zbrodnie, opublikowała raport z pięciokrotnie zaniżoną liczbą ofiar tamtego reżimu. Dopiero w 1991 r. USA uznał rząd w Phnom Penh i wreszcie ludobójcy Pol Pota przestali formalnie reprezentować Kambodżę w ONZ.

Zaraz po zaprzysiężeniu prezydent Trump zakazał używania w USA papierowych słomek do napojów, aby zerwać kulturowo z progresywną Europą.

Czy po antychińskim sojuszu z Rosją zakaze też jedzenia pałeczkami?

PIOTR GADZINOWSKI



Ilustr.: KRZYSZTOF OLEJNIK

Pieprzenie o pozbawianiu konkurencyjności USA jest śmieszne, bo Stany Zjednoczone są globalnym monopolistą na rynku usług cyfrowych. Europa niestety przekimiwała ostatnie lata rozwoju technologii internetowych, opierając się wygodnie na rozwiązaniach z USA i chętnie nawiązując współpracę z molochami.

Trump i jego ekipa są jak przedszkolaki, które dobrały się do barku pod nieobecność rodziców. Trudno przewidzieć ich fantazje, łatwo natomiast intencje: jeśli zapowiedzi przejdą w czyny, łańcuch, na którym giganci prowadzą użytkowników, na pewno się skróci i to oni będą dyktować – ustami Trumpa – warunki. Wygodnictwo i ślepe zaufanie kosztują. Jak wiele, dowiemy się w niedalekiej przyszłości.

IDALIA DUBICKA



Rys.: MARGIN CHUDZIK

głównym celem reformy. Korporacja rękami CIA i zatrudnionych propagandystów zrobiła z siebie ofiarę rządowej polityki, a Guzmánowi przyklejono łatkę komunisty. Zwieńczeniem medialnej kampanii bolszewizacji Guzmána była operacja „Washtub”, w ramach której CIA opublikowała fałszywe informacje o odkryciu na terytorium Nikaragui radzieckiej broni mającej rzekomo trafić w ręce gwatemalskiej armii.

W 1954 r. do Gwatemali wkroczyli wyszkoleni i wyposażeni przez CIA puczyści. Ich dowódca Castillo Armas został dyktatorem, a wojskowa junta przez kolejne 30 lat terrorizowała Gwatemalczyków i wymordowała ok. 200 tys. własnych obywateli.

Gwatemala była jednak tylko jednym z wielu elementów budowania dominacji USA w Ameryce Łacińskiej za pomocą krwawych dyktatur wojskowych. Do lat 70. prawicowe junty opanowały niemal cały kontynent, a koordynowana w tym czasie przez USA w ramach operacji „Kondor” współpraca tajnych służb doprowadziła do 50 tys. morderstw politycznych, 30 tys. „zaginięć” i osadzenia 400 tys. więźniów politycznych.

Nowy stary podział świata

Podobnie krwawe metody narzucania swej hegemonii Stany Zjednoczone stosowały również w innych zakątkach świata, a złudna wizja USA jako „imperium dobra” funkcjonuje w zasadzie tylko w Europie.

Zaryzykuję stwierdzenie, iż jest to efekt pewnej anomalii w polityce zagranicznej Zachodu. Europa Zachodnia stała się jedynym regionem świata, gdzie czysty pragmatyzm i geopolityczne wyrachowanie zastąpiono krwawieniem liberalnych wartości, które uznano za podstawę regionalnego ładu. Po II wojnie światowej pozwoliło to zjednoczyć pod amerykańskim parasolem – w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego – państwa znajdujące się po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Z kolei w państwach socjalistycznych Amerykańskie rozpoznały walkę partyzancką o „liberalne wartości”, czego istotnym elementem było wspieranie rozmaitych organizacji wywrotowych – w tym Solidarności, której CIA kupowało niezbędny do działań konspiracyjnych sprzęt.

Po raz pierwszy Stany wykazały rzeczywiste zainteresowanie przestrzeganiem tzw. praw człowieka poza swoim terytorium, a kierowany przez nie sojusz militarny do swych celów dopisał takie punkty jak „promowanie demokracji”. Upadek Związku Radzieckiego i zaprowadzenie liberalnego porządku w byłych państwach socjalistycznych uznano za niekwestionowany sukces i dowód na przewagę polityki „krwawienia demokracji” nad pragmatycznym transakcjonizmem. Obwieszczone „koniec historii”, Stany Zjednoczone stały się niekwestionowanym hegemonem, a liberalny porządek narzucono całemu światu.

Szybko okazało się, że doniesienia o triumfie demokracji były mocno przesadzone. Chiny w ciągu 30 lat urosły do statusu mocarstwa, którego nie można lekceważyć, a Rosja zdołała wygrzebać się z wyniszczającej państwo transformacji, by następnie zakwestionować polityczną ekspansję Amerykanów w Europie Wschodniej. Po kilkudziesięciu latach stało się jasne, że odejście od doktryny Monroe było pochopte, a liberalna demokracja nie wszędzie przyjmuje się równie dobrze, jak w zachodniej Europie.

USA mimo dominującej pozycji okazały się za słabe, by pretendować do roli rządu światowego. Wydaje się, że obecny prezydent Donald Trump jest świadomy tych ograniczeń, a jego plan na politykę zagraniczną zakłada rezygnację z politycznych aspiracji poza tradycyjną strefą wpływów obejmującą obie Ameryki i Europę Zachodnią oraz powrót do handlowania z każdym. W jego wizji nie ma również miejsca na jednoczenie Europy, a „ingerowanie” przez Elona Muska w unijną politykę ma jasny cel – popieranie partii nieprzychylnych integracji; reszta jest nieistotna. Sytuacja wewnętrzna nad Dnieprem przestała zatem Amerykanów interesować, byle do Waszyngtonu płynęły pieniądze z eksploatacji surowców.

HUBERT CEZARY WYSOCKI

SŁOWO
CZERWONE

Własność czy wolność

Tak w sumie to bogaci są biedni

Własność kojarzy mi się z drutem kolczastym, coraz wyższym murem, ochroną, monitoringiem. Właściciele segmentów w grodzonych osiedlach zamykają się w swoim własnym więzieniu z surowym regulaminem. W takich kondominiach prawie wszystko jest zabronione. Panuje, zgodnie z regulaminem, grobowa cisza.

Ludzie, którzy dopiero co za symboliczną złotówkę wykupili swoje spółdzielcze bądź komunalne mieszkania, patrzą z góry na tych, którzy nie wykupili, i w ramach wspólnot mieszkaniowych zatruwają niewłaścicielom życie. Kiedy gmina chce postawić obok takiej świeżo uwłaszczonej kamienicy dom komunalny, protestują, bo „właściciele” nie znoszą sąsiedztwa plebsu.

Większość Polaków ma na własność swoje domy czy mieszkania i uważają lokatorów, najemców za coś gorszego. Ludzi drugiej kategorii. A przecież do tej własności dochodzi się u nas albo przez tzw. powszechne uwłaszczenie, wykup z ogromną bonifikatą albo w drodze dziedziczenia.

Ci nieliczni, którym bank przyznał kredyt na zakup mieszkania, umierają ze strachu, że przy spadku dochodów mogą wszystko lub prawie wszystko, co włożyli, stracić. Bo licytacja odbywa się na bardzo niekorzystnych zasadach. Uważają też, że to jest nie fair, że oni muszą przez dziesiątki lat płacić raty, a inni dostają pomoc mieszkaniową gminy. Oburza ich, że muszą brnąć w ogromne zadłużenie, którego spłata trwa niemal całe życie, a nawet przechodzi na kolejne pokolenia. A przecież żeby otrzymać pomoc publiczną, trzeba się wykazać niskim dochodem. Więc w sumie nie ma czego zazdrościć.

Kredyt mieszkaniowy to rodzaj zniewolenia. Ci, którzy go spłacać nie muszą, częściej się buntują w pracy przeciw złym warunkom i niskim zarobkom, bo nie wisi im nad głową widmo bankructwa jak katowski miecz.

Oczywiście to nieszczęście dotyczy ludzi, którym bank naciągnął zdolność kredytową, żeby móc kredytu udzielić, a nie tych, którzy spłacają kolejne mieszkania z ba-jońskich czynszów, jakie dyktują lokatorom.



Rys. TOMASZ WALTER

Właściciel firmy z zazdrością spogląda na pracowników, którzy po skończonej zmianie wychodzą z roboty i nic ich już więcej nie obchodzi. A on biedny wciąż się zamartwia, czy wyjdzie na swoje. Ale na dochody by się z pracownikami nie zamienił.

Własność to ból głowy. Wraz ze wzrostem dobrobytu wzrastają koszty – raty za kolejnego SUV-a, za egzotyczne podróże, za ekskluzywne ubezpieczenie zdrowotne dla całej rodziny. Na to wszystko trzeba zarobić, więc nie ma miejsca na bez troskę.

Blichtr i wybujała konsumpcja nie wynagrodzą tego ciągłego zatroskania i pędu do bogactwa, który niszczy pędzącego. Jeżeli tylko pracownik utrzymuje się na powierzchni, zarabia dość, by na skromnym poziomie się bilansować – jest szczęśliwszy od dusigrosza. Ma mniej trosk i więcej czasu dla siebie, rodziny i przyjaciół.

Ile razy słyszałem tragiczny jęk starszych ludzi, którzy twierdzili, że zmarnowali życie na pogoń za majątkiem, żeby dogodzić dzieciom. A teraz krążą jak duchy po obszernych kubaturach swych rezydencji, bo dzieci wyjechały w siną dal.

Komornik zajął mi ćwierć emerytury za jakiś rachunek telefoniczny z lat 90. Ale nie zajmie mi jachtu, drogiego samochodu, mieszkania, bo ja nic takiego nie mam. Mam tylko te dwie ręce, żeby stukać czterema palcami w klawiaturę i zarobić na utrzymanie rodziny. Jestem wolny jak taczanka na stepie. Bez własności.

Wędrowali szewcy przez zielony las.

PIOTR IKONOWICZ

Nie macie wrażenia, że konferencja Nawrockiego była dziwaczna?

Cokolwiek kuriozalne wielogodzinne wyrażenie pod hasłem „Konferencja programowa dr. Karola Nawrockiego” nie służyło bynajmniej przedstawieniu programu. Pomysł odwołania się do 21 postulatów z 1980 r. – zawarty w ogłoszonym przez Nawrockiego „Planie 21” – jest, jak się nad tym dobrze zastanowić, absurdalny. 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego była to nieskoordynowana lista pomysłów od Sasa do Lasa, wyrażająca raczej nastroj strajkujących niż jakikolwiek program. Tymczasem Nawrocki chciał – jak podejrzewam – zaprezentować się jako kandydat merytoryczny; polityk niby początkujący, ale przygotowany, mający wizję tego, jak chce sprawować urząd.

Zaślubiny kandydata z PiS-em

To się wyraźnie nie udało – determinacja w dobiechu do 21 punktów wywołała w jego opowieści kompletny chaos. Pierwsze pięć punktów to bardzo drobiazgowo postulaty podatkowe – z wyraźnym ukłonem w stronę populizmu fiskalnego à la Mentzen – a następnie prezentującej dziwaczna mieszankę kompletnie pustych haseł z gatunków „Po pierwsze Polska!” (pkt 8); „Inwestycje! Na co dzień” (pkt 17); „Wspierać rolnika, dbać o Polską wieś” (pkt 18).

Sama treść postulatów jest o tyle bez znaczenia, że nikt ich tak naprawdę nie słuchał. Zarliwa gestykulacja i entuzjastyczny ton odwróciły uwagę słuchaczy od meritum; długość wystąpienia zabiła uwagę nawet najbardziej oddanych zwolenników. Michał Rusinek reklamuje na Facebooku swój kurs „Sztuka skutecznej komunikacji” słowami: „Wiedzą państwo, co jest najprostszym sposobem na pobudzenie uwagi? Powiedzieć: ja już kończę”. Dr Nawrocki najwyraźniej usłyszał reklamę, ale na kurs się nie zapisał, gdyż obiecywał – i nie kończył.

Główny walor tego trwającego grubo ponad dwie godziny przemówienia to kolejna – po wniesieniu łódzkiej powodziań – okazja do zaprezentowania tężyzny fizycznej. Stronicy Nawrockiego zwracali uwagę, że kandydat przemawiał tak dzielnie, że nawet wody się nie napił.

Teoretycznie ten koszmarnie długi monolog mógłby dowodzić, że Nawrocki naprawdę jest

kandydatem samodzielnym; gdyby kierowali nim wybitni profesjonalści od PR, którzy ponoć są na usługach PiS, zapewne nie pozwoliliby mu pierzyć bez sensu przez 133 minuty.

Z drugiej strony wszakże ci, którzy chcieliby uwierzyć w „obywatelskość” kandydata, zostali szybko wyprowadzeni z błędu przez Jarosława Kaczyńskiego. Zamykając konferencję, prezes ogłosił w dość nieskładnych, a mimo to niepozostawiających wątpliwości słowach: „Sądzę, że nawet ci – bo gdzieś tacy są po tej naszej stronie, także Prawa i Sprawiedliwości – którzy byli za Karolem Nawrockim, ale nie wiedzieli tak na pewno, czy to jest nasz partyjny kandydat także, gdy go popieramy jako kandydata obywatelskiego, już dzisiaj wiedzą, że to jest nasz kandydat, innego nie ma”. Po czym – nieczym pan na włościach – retorycznie odprowadził gości do drzwi, dziękując co ważniejszym występującym z Nawrockim na czele.

Nawiasem mówiąc, w całym tym trwającym cztery godziny wydarzeniu najciekawsze było wystąpienie prof. Andrzeja Nowaka, przewodniczącego komitetu wyborczego Karola Nawrockiego. Nowak – skądinąd historyk o uznanej renomie – oparł swoje wystąpienie na przeprowadzonym przez Instytut Psychologii PAN w 2023 r. badaniu zatytułowanym „Czy i jak identyfikujemy się dziś z Polską?”. Użytek, jaki pisowski profesor zrobił z pracy swoich kolegów z PAN, godny jest omówienia, albowiem dobrze opisuje zjawisko powstawania rzeczywistości równoległych.

„Raport wykazał, że około 38 proc. respondentów – a więc Polaków współczesnych – identyfikuje się z tradycją, z wartościami konserwatywnymi” – ogłosił prof. Nowak. Słowem, nasze na wierzchu, nie?

Otóż nie.

Te rzekome 38 proc. konserwatystów to dwie grupy, zgola konfliktowe. Uczni nazywali je uprzejmie: „otwarcy tradycjonalisci” i „zaangażowani konserwatyści”. Pierwszych jest 23 proc., drugich – zaledwie 15.

Podaną przez Nowaka definicję prawdziwego Polaka – takiego, który uważa, że „polskość to wielkość” oraz „polskość to wyjątkowość”, a także „zachowuje tę świadomość, tę pamięć wyjątkowości naszych dziejów” – wyczerpuje tylko te 15 proc. „zaangażowanych konserwatystów” cechujących się wysokim poziomem czegoś, co badacze nazwali – znów uprzejmie – „identyfikacją pozabezpieczną”.

To, inaczej mówiąc, narodowy narcyzm – skłonność do popadania w wyobrażenia wielkościowe, a także do deprecjonowania innych grup. To ci, którzy uważają, że „Polacy zasługują na specjalne traktowanie” (87 proc.) i „nie wielu ludzi rozumie w pełni, jak ważna jest Polska” (98 proc.). W przypadku „otwartych tradycjonalistów” – którzy według tego badania stanowią 23 proc. społeczeństwa – te wyniki są zupełnie inne: wyższość wobec tych, którzy nie rozumieją naszej wagi, wykazuje 44 proc., a specjalnego traktowania domaga się zaledwie co dziesiąty. Otwarci tradycjonalisci cechują się za to wysokim poziomem tzw. identyfikacji bezpiecznej: bycie Polakiem jest dla nich „ogólnie ważne” i są z tego „ogólnie zadowoleni”, ale nie sądzą, że czyni ich to lepszymi. Pokażcie mi takich na konwencji Nawrockiego.

W gruncie rzeczy trudno oprzeć się wrażeniu, że cały niedzielny spektakl w Szeligach tracił rozpaczliwiec i był kompletnie nieprze-myślany. A w charakterze wisienki na torcie wystąpił Rafał Ziemkiewicz, który radośnie pieprzył na scenie w dziwacznym formacie inspirowanym „Szkłem kontaktowym” (czy też jego pisowskim wariantem z TVP Info) w towarzystwie barbie o nie do końca polsko brzmiącym nazwisku Emilia Wierzbicki, będącej, jak się okazuje, rzeczniką Nawrockiego. Ziemkiewicz wyznał sali pełnej bojowników przeciw elitom, że jego inspiracją do zainteresowania się polityką był Milton Friedman. Ojciec „Chicago boys”, autor tezy, iż „społeczna odpowiedzialność biznesu polega na zwiększaniu zysków”, twórca systemu, w którym niepojęta chciwość jest cnotą, wyzysk pracowników należy do czołowych zadań pracodawców, a kryzysy i szok wywołany przez nie w społeczeństwie należy wykorzystywać do brutalnej prywatyzacji.

Czy ktoś może wie, o co w tym wszystkich chodziło?

AWŁ

MÓZDZEK TYGODNIA

Zeszyty tygodniowa dyskusja Donalda Trumpa i J.D. Vance’a z Wołodzimyrem Zeleńskim w Białym Domu jest nazywana najgrubszymi słowami: od „kłótni” i „awantury”, po „początek trzeciej wojny światowej”. Swoje trzy grosze postanowił wtrącić również Lech Wałęsa. Razem z 38 opozycjonistami w czasach komunizmu (m.in. Bogdanem Borusewiczem, Zbigniewem Bujakiem, Władysławem Frasyniukiem, Bogdanem Lisem, Adamem Michnikiem, Stefanem Niesiołowskim, Andrzejem Sewerynem) były prezydent Polski podpisał list do prezydenta USA porównujący amerykańsko-ukraińskie negocjacje do przestępstwa przez Służbę Bezpieczeństwa i z sal rozpraw w komunistycznych sądach.

Szanowny Panie Prezydencie, relację z Pańskiej rozmowy z Prezydentem Ukrainy Wołodzimyrem Zeleńskim oglądaliśmy z przerażeniem i niesmakiem. Pańskie oczekiwania co do okazywania szacunku i wdzięczności za pomoc materialną udzie-

loną przez Stany Zjednoczone walczącej z Rosją Ukrainie uważamy za obraźliwe – napisali Wałęsa i inni polscy seniorzy polityki. I dodali wspomnieniowo: Prokuratorzy i sędziowie na zlecenie wszechwładnej komunistycznej policji politycznej też nam tłumaczyli, że to oni mają w ręku wszystkie karty, a my żadnych. Domagali się od nas zaprzestania działalności, argumentując, że z naszego powodu cierpią tysiące niewinnych ludzi. Pozbawili nas wolności i praw obywatelskich, ponieważ nie godziliśmy się na współpracę z władzą i nie okazywaliśmy jej wdzięczności. Jesteśmy szokowani, że podobnie potraktował Pan Prezydenta Wołodzimyra Zeleńskiego.

Po zakończeniu bezowocnych rozmów prezydent Zeleński wsiadł do samochodu i odjechał w siną dal. Jeśli to samo mógł robić po przesłuchaniu przez oficerów SB prezydent Wałęsa w czasach, gdy jeszcze nie był prezydentem, to nic dziwnego, że tak pobłażliwa kolumna musiała upaść.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gdy kaczusia jest chora

Zorganizujemy szpital dla polityków. Bez luksusów

Nasz umiłowany Pan Prezes troszkę niedomaga sercowo i musi czasami do doktora. A że pół kraju zostało już przejęte przez kondominium rusko-niemieckie, trzeba szukać pomocy w patriotycznych bastionach, gdzie wciąż jeszcze buławę dzierzą prawdziwie polscy i katoliccy wojewodowie. Dlatego na badania udał się nasz Pan Prezes aż do piastowskiego Lublina. A tam, jak wiecie niesie, panie w szpitalnej recepcji tak się wystraszyły, że aż nie śmiały poprosić Nadpacienta Kaczyńskiego o dowód osobisty i zarejestrowały jego przybycie sposobem używanym na co dzień względem mieszkańców działek i schodowych klatek, czyli jako NN. Następnie Jego Wysokość NN Kaczyński został zawieziony na oddział kardiologiczny, gdzie w popłochu opróżniono dla niego stosowną salę.

Rozniosła się nawet i taka wieść, że pół oddziału wypisano do domu, aby udający się na spacer po korytarzu Zbawca Narodu nie musiał obijać się o przedstawicieli ludu, którzy mogliby mu na ten przykład zrobić zdjęcie w piżamie w kropki i rozpowszechnić na okładkach wrażeń pismideł. Wieść nie została potwierdzona, a nawet zaprzecza jej sam pan kierownik oddziału, jednakże miejscowy NFZ, tymczasowo podległy okupacyjnym władzom w Warszawie, i tak skierował wścibskie a niegodne zapytania pod adresem szpitala. Bardzo przeto być może, że na koniec dnia wyjdzie jakieś sztydło z worka, a konsekwencje będą wyciągane.

Zaiste jest coś komicznego w tym obrazku Kaczyńskiego pędzącego zszoną do Lublina, aby w zaprzyjaźnionym szpitalu zadekować się jako mężczyzna NN, byle by tylko uniknąć sensacji i spekulacji na temat swego zdrowia, a przede wszystkim uniknąć kontaktu ze zwykłymi pacjentami. Absurdalne było przypuszczenie, że taki numer przejdzie i że „nikt się nie dowie”. Wszyscy wiedzą i się śmieją. Od dziś Jarosław Kaczyński

będzie już NN Kaczyńskim i bardzo trudno będzie mu się ten niespodziewanej a dokuczliwej ksywki pozbyć.

Gdy taka ważna kaczusia musi podreptać do szpitala, a nie chce przy tym być widziana ani nikogo widzieć, to bardzo proszę! Od czego są prywatne kliniki? Niestety, epatujący skromnością populistyczny lider nie może sobie pozwolić na korzystanie z drogiej usługi medycznych, na które nie stać wszak jego wyborców. Woli więc zaryzykować ośmieszenie, zamiast wzbudzać konsternację, że zachowuje się jak bogacz. Jednakże gdyby wiedział, jak wielkie jest to ryzyko, pewnie by wycieczkę do Lublina sobie darował.

Zostawmy już serduszko naszej ulubionej kaczi w spokoju, albowiem przyzywa nas kwestia moralna natury bardziej ogólnej: Czy ważne kaczie mają prawo do lepszej opieki zdrowotnej od zwykłych szaraczków? Sprawa bynajmniej nie jest jednoznaczna.

W ochronie zdrowia panuje doktryna równego traktowania. Wszyscy ubezpieczeni, znajdujący się w analogicznej sytuacji zdrowotnej, powinni otrzymać podobne świadczenia, a o kolejności w dostępie do nich powinny decydować względy medyczne oraz czas oczekiwania na wymaganą procedurę medyczną. Równe traktowanie jest tak kluczowym warunkiem utrzymania zaufania do systemu służby zdrowia i tak silnie kojarzone jest ze sprawiedliwością, że nawet rezygnuje się z tak zwanej współpłaty, czyli możliwości zwiększenia dostępu do świadczeń refundowanych w ramach obowiązkowego ubezpieczenia społecznego poprzez uiszczenie pewnej kwoty. Publiczny ubezpieczyciel nie oferuje też (w odróżnieniu od prywatnych) różnych poziomów ubezpieczenia w zależności od wysokości płaconej składki. Wszyscy mają mieć tak samo!

Z drugiej strony jednak przywiązany do równości naród wcale nie życzy

sobie, aby od zasady równego traktowania nie było żadnych wyjątków. Większość katolików nie uznałaby za rzecz słuszną i sprawiedliwą, gdyby biskup razem z nimi miał siedzieć godzinami w poczekalni u lekarza. Jednak co biskup, to biskup. Może zwykły proboszcz to jeszcze, jeszcze, ale biskup? Tego już za wiele. Równość jest dobra, ale dla maluczkich...

No właśnie. W pojęciu równości kryje się mały chochlik, zwany resentymentem. Resentym to po naszymu zawiść. Chcemy, żeby było po równo, aby nikt nie miał lepiej od nas. Ale gdybyśmy to my mieli mieć lepiej, wtedy rozmowa jest inna

– niech wszyscy mają po równo, ale nie my. Któż zrezygnuje z protekcji u lekarza, jeśli ma możliwość jej uzyskania? Chyba tylko jakiś świr.

I właśnie dlatego, że w głębi duszy uważamy przywileje dla samych siebie oraz osób dla nas najważniejszych za coś słusznego i sprawiedliwego, nawet najbardziej demokratyczne i egalitarne państwa sankcjonują pewne nierówności w ochronie zdrowia. Dotyczą one na pierwszym miejscu władzy i obrońców ojczyzny. Utrata życia i zdrowia przez ludzi, od których zależy bezpieczeństwo całego społeczeństwa, stanowi poważne zagrożenie publiczne, wobec czego uważa się za całkiem słuszne, aby rząd miał swoich lekarzy i swoje szpitale. Rów-

nież wojsko ich potrzebuje i nikt nie będzie się wyklócał, że dostęp do leczenia żołnierza, zwłaszcza rannego, nie powinien być w jakimś stopniu uprzywilejowany. Pod te w miarę uzasadnione przywileje podczepiają się całe grupy zawodowe, tworząc sobie własne resortowe placówki lecznicze. I na koniec okazuje się, że jak jesteś kuzynem policjanta albo siostrzenicą oficera, to masz całkiem spore szanse na lepszy szpital. Oczywiście nie powinno tak być, ale mało kto narze-



ka, bo kto wie, może jutro to właśnie ja albo moje dziecko znajdziemy się w grupie uprzywilejowanych?

No właśnie: dziecko. Istnieje cichy konsensus społeczny, zgodnie z którym są takie grupy pacjentów, o które należy dbać bardziej niż o inne.

Nie chodzi tu już o indywidualne uprzywilejowanie, lecz raczej o przynależność do pewnej społecznie afirmowanej kategorii społecznej. W naszym kraju bynajmniej nie są to ludzie starzy, którym to „należy się szczególnie szacunek”. Są to raczej dzieci, będące „przyszłością narodu” oraz ciężarne kobiety, które je urodzą. Nakłady na zaspokojenie potrzeb medycznych ciężarnych i małych dzieci są dramatycznie nieproporcjonalne do nakładów na psychiatrię czy geriatrię. I dzieje się tak za cichym przyzwoleniem narodu.

Jak widać, w naszym zamyśleniu do równości są jednak pewne wyłomy. Jak więc ma się w tym odnaleźć polityk? Jeśli akurat jest w władzy, to może korzystać ze szpitala przeznaczonego dla władzy. A jeśli nie jest już w władzy, tylko wegetuje w ławach opozycji? W takim razie powinien iść do zwykłego szpitala na zwykłych zasadach albo do prywatnej kliniki. Słusznie jednak może się obawiać, że będzie jakoś niepokojony albo że korzystanie przez niego z usług prywatnej kliniki zaszkodzi jego wizerunkowi.

Jaki z tego płynie wniosek? Ano taki, że sytuacja polityków nie powinna zależeć od tego, czy aktualnie ich ugrupowanie rządzi, czy nie. Jeśli ktoś został posłem i ma problem z chodzeniem w piżamie po szpitalnym korytarzu, a jednocześnie nie chciałby, żeby ktoś sfotografował go w progę prywatnej kliniki, to ma chyba prawo do tego, by organizacja lecznictwa pozwalała mu uniknąć tych niedogodności. Nie powinno bowiem być tak, że wizerunek polityka jest zależny od jego perypetii z korzystaniem ze świadczeń medycznych. Dlatego uważam, że powinien istnieć odrębny szpital dla parlamentarzystów.

Mały, przyzwity, bez luksusów. Każda biedna polityczna kaczusia miałaby tam i opiekę, i spokój. W zamian posłowie i senatorowie byłiby proszeni, aby w miarę możliwości jednak korzystali z tego właśnie przybytku, przez co można by wykluczyć sytuację podobną do tej, której bohaterem jest Pierwszy Kaczus RP.

JAN HARTMAN

Przynajmniej do niedawna spotykało się takich entuzjastów Ameryki, którzy twierdzili, że Stany Zjednoczone są wzorem demokracji. Dziś już nawet oni chyba dostrzegli, że od dawna jej tam nie ma – a według mnie demokracji nie było tam nigdy. I widzimy tego skutki: rządy oligarchii w interesie oligarchii: nowy feudalizm.

I dla Ciebie, i dla mnie jest jasne, że kiepska, pozorna, niezdarna demokracja prowadzi nieuchronnie do władzy najsilniejszych – tych, którzy mają odpowiednie środki (broń albo pieniądze!), aby ją przechwycić i tym sposobem powiększyć swoje dobra materialne. A przecież nawet teoretycznie doskonała demokracja, „darowana przez Boga” ciemnemu, oświeconemu lub niedoinformowanemu narodowi, prowadzi wprost do tego samego skutku – czasem poprzez fazę chaosu. Bo władza w rękach głupców jest równie do dupy jak władza sprawowana przez złodziei i bandytów.

Braku demokracji chyba też sobie nie życzymy, bo nie wierzymy w autokratycznego, dobrego, oświeconego wszelką wiedzą władcę, który będzie panował wiecznie i nie doczeka się na dobrze wygrzanym przez siebie miejscu brutalnego debila z pałką. Ale widzimy, że w warunkach brutalnej kapitalistycznej i imperialistycznej w swej istocie konkurencji nasza kulawa demokracja zostaje pod pewnymi względami w tyle. Są tacy, którzy w tych okolicznościach przychylają się do głoszonego przez niektórych polityków „jedynie słusznego” rozwiązania, że należy wprowadzić silne rządy: poprzez trumpistów, orbanistów, putinistów czy nawet faszystów.

A ja na to: nieee, a fuji, breee! Wolę moje bajki! Przecież rozsądny i skuteczny system społeczno-gospodarczy jest możliwy – (hmm!) przynajmniej w bajkach.

Zatem poczućmy się jak w bajce i pomyślmy, jak sprawnie wygenerować i zwerbalizować wolę społeczeństwa w dużym państwie? Jak przy tym nie zaburzyć i nie opóźnić podejmowania elastycznych i odpowiadających rozwojowi sytuacji decyzji władz państwa? Jak spowodować, aby te decyzje były merytorycznie trafne i powodowały oczekiwane skutki? Co zrobić, aby politycy działali w interesie państwa i ogółu społeczeństwa, a nie wyłącznie dbali o swój partyjny i osobisty interes?

A ja tam myślę, że demokrację można naprawić.

Polityka z woli ludu



Do podejmowania demokratycznych, większociowych i kompetentnych decyzji potrzebna jest duża, nie tylko reprezentatywna, ale i zaangażowana grupa wyborców. Nie da się tego osiągnąć w wyborach.

Zdecydowana większość ludzi, poświęcając się swojej codzienności, nie ma szans wyrobić sobie merytorycznej opinii na większość z podejmowanych przez państwo zagadnień i decyzji. Często wyborca popiera konkretnego polityka czy partię, koncentrując się tylko na jednej czy dwóch oferowanych mu przesłankach lub punktach programu, pomijając cały skomplikowany polityczny kontekst. Prowadzi to do sytuacji, że albo nie głosuje w ogóle, albo (co może gorzej) głosuje na podstawie podawanych mu powierzchownych, często nieprawdziwych i zmanipulowanych informacji. Racjonalne głosowanie wyborcy wymaga przecież poświęcenia czasu i uważności dla zgłębienia racjonalnych argumentów za i przeciw, a także często fachowej wiedzy.

Wygląda to jak sprzeczność z zasadami demokracji przedstawicielskiej. Rozwiązania tego problemu nie zapewnia nawet system powszechnych referendum. Ta sprzeczność rzeczywiście istnieje i powoduje same negatywne dla społeczeństwa i systemu demokracji skutki.

Ale przecież nie musi tak być. Nie wchodząc w nadmierne szczegóły... Wyobraźmy sobie, że w jakimś państwie, podobnym do naszego, organizowane są Izby Obywatelskie (IO) w celu wyrażenia

opinii (woli) wyborców w ważnych dla państwa sprawach. Nie chodzi tu o decyzje wymagające szybkiej reakcji. Raczej o sposób rozwiązywania problemów strategicznych. Owe Izby tworzone są z dużych grup losowo wyłanianych dorosłych obywateli. Z powodu ich liczebności i losowości doboru opinia czy decyzja IO może być reprezentatywna dla całego społeczeństwa i jest po jej ogłoszeniu ogłaszana publicznie wraz z argumentacją za i przeciw towarzyszącą jej przyjęciu. To werbalizacja woli społeczeństwa. Uczestnicy IO są anonimowi i uczestniczą w deliberacji problemu przez internet. Są opłacani z publicznych środków umiarkowaną stawką. Do pomocy w bardziej szczegółowych kwestiach dostępne są dla nich komisje uczonych i specjalistów oraz aparat administracyjny. Członkowie prowadzić mogą przesłuchania, podejmować badania i inicjować dyskusje na każdy temat związany z powierzonym im problemem.

Z punktu widzenia polityki państwa niezwykle ważne jest ogłaszanie i doprowadzanie do powszechnej świadomości efektów pracy IO. One nie muszą podejmować decyzji za parlament czy rząd. Ale społeczna świadomość efektów ich pracy i podjęte decyzje zmuszają polityków do respektowania, a przynajmniej uwzględniania w przyjmowanej polityce ich decyzji. Praca IO oparta o uważne, merytoryczne pogłębione rozpatrzenie problemu z uwzględnieniem wielu różnych argumentów jest niebagatelnym czynnikiem wywierającym społeczną presję na realizację decyzji politycznych zgodnych z interesem i wolą społeczną. Wspomaga to i odciąża parlament, a jednocześnie wzmacnia partycypację obywateli w demokracji, ograniczając wirusa populizmu i pasożytniczą oligarchię.

Myślę bowiem, że wprowadzając do aktualnie ułomnego systemu demokratycznego tego typu mechanizm społecznej presji, poprawilibyśmy skuteczność i racjonalność wielu decyzji politycznych o charakterze gospodarczym. Bo ani nierozwiązujące istoty problemu populistyczne pomysły polityków, ani lobbging i naciski określonych branżowych grup interesu nie znajdowałyby poparcia obywateli zaangażowanych w powoływane w ten sposób Izby Obywatelskie.

O! To taka bajka mi się często śni.

ANNA GRODZKA

Dzięki ci, Ziobro!

Dar prawicy dla osób transpłciowych

Mało która grupa społeczna w Polsce zawdzięcza katoprawicy tyle, ile społeczność LGBT. I odwrotnie: mało kto w tym kraju zrobił dla społeczności LGBT tyle, ile katoprawica. Ostatni tego dowód znajdujemy w wyroku Sądu Najwyższego z 4 marca. Za przyczyną Zbigniewa Ziobry SN ułatwił osobom transpłciowym dokonywanie uzgodnienia płci metrykalnej.

Przez osiem lat pisowskiej nocy w Polsce zarówno rządzący, jak i wszyscy ich koledzy (z Kościoła kat. zwłaszcza) zrobili bardzo dużo, by spopularyzować tematykę praw LGBT w społeczeństwie. To dzięki nim Polacy dowiedzieli się, że w naszym kraju są wykluczone całe grupy społeczne, że regularnie łamane są prawa człowieka. Dowiedziała się o tym też zagranica. A wreszcie tematyka ta stała się sprawą polityczną, dzięki czemu dziś są jakieś widoki na załatwienie kilku spraw dotyczących tych grup, które mieszczą się w skrótozawcu LGBT.

Trudne chwile eksministra

Był Ziobro sprawiedliwości, jak pamiętamy, zawsze było w awangardzie najbardziej zadających antygelbietowców. Dlatego nie przegapiło żadnej okazji, by dokopać tęczowym. Zawniósł więc do Sądu Najwyższego o rozstrzygnięcie prawne. Chodziło mu o to, że osoba transpłciowa, która, dokonując korekty płci metrykalnej, standardowo musi pozwać własnych rodziców, powin-

na pozywać także małżonka (jeżeli pozostaje w związku małżeńskim) i dzieci (jeżeli je ma). Oznaczałoby to bowiem dla osób trans kolejne utrudnienia w i tak najeżonej przeciwnościami korekcie. Ziobro zaś najchętniej zapewne kazałoby pozywać nawet kota, byle tylko uprzykrzyć życie osobom trans.

Ale się nie udało. SN zdecydował tak, że osoby trans, zamiast mieć trudniej na drodze do metrykalnej korekty płci, będą miały łatwiej. Orzekł bowiem, że nie muszą nikogo pozywać, by zmienić oznaczenie własnej płci. Dotychczasowa praktyka pozywania rodziców na mocy art. 189 Kodeksu postępowania cywilnego zostaje zamieniona na postępowanie nieprocesowe z art. 36 Prawa o aktach stanu cywilnego. A więc zamiast procesu z udziałem rodziców oraz – jak chciałoby Ziobro – dzieci i małżonków, będzie tylko decyzja sądu o zmianie wpisu do aktu urodzenia.

Oczywiście wnioskodawca będzie musiał – jak do tej pory – przedstawić sądowi stosowne opinie lekarskie i psychologiczne oraz inne wymagane dowody swojej nienormatywnej tożsamości płciowej. Nadal jest to procedura (choć

w przypadku Polski lepszym określeniem jest: brak procedur) dość upokarzająca dla wielu przechodzących ją osób. Ale dla większości będzie i tak pestką w porównaniu z tym, co było do tej pory.

Łyzka miodu, beczka dziegciu

W środowiskach osób transpłciowych zapanowała euforia jak chyba jeszcze nigdy dotychczas w Polsce. Od wtorku cała społeczność świętuje. I niech świętuje, bo być może lepszego prezentu od władzy w tej kadencji już nie dostanie.

Podtrzymuję to, co napisałam zaraz po wyborach („Tęcza w czarnej dupie”, „NIE” nr 43/2023), kiedy społeczność LGBT ruszyła szturmem dopominając się o prawa obywatelskie w kampanii wyborczej (ustawy o uzgodnieniu płci, ustawy o równości małżeńskiej oraz wpisania przestępstw z nienawiści i mowy nienawiści wobec LGBT do

kodeksu karnego). Napisałam wtedy, że realizacja tych obietnic w tej kadencji wcale nie jest taka pewna. Wiadomo, że do zmiany prezydenta żaden taki pomysł nie przejdzie. To, kto będzie kolejnym prezydentem, pozostaje kwestią otwartą, przeto może się okazać, że i kolejna pięciolatka nie będzie tą, podczas której takie ustawy doczekają się podpisu. A jeżeli nawet się uda, to

od zmiany prezydenta do końca kadencji parlamentarnej pozostaną dwa lata z niewielkim okładem. To nie jest za dużo czasu i zwyczajnie z uchwaleniem tych wszystkich wspaniałości obiecywanych społeczności LGBT można nie zdążyć.

Doświadczenia poprzedniej platformianej kadencji (2011–2015) uczą, że Donald Tusk et consortes są do brzy w niezdządaniu (tak długo gmerali w przygotowywaniu ustawy o uzgodnieniu płci, że nie zdążył jej podpisać Komorowski i w rezultacie odwalił ją Duda).

Nic nie wskazuje też, by kolejna kadencja parlamentarna niosła ze sobą jakąś nadzieję. Na razie Tusk pokazuje, że jednak niczego się nie nauczył, i wraca na swoje pozycje z czasów ciepłej wody w kranie. Kwestia migrantów, miliardy topione w zbrojenia, całkowita kapitul-

cja państwa wobec przywilejów Kościoła, apatia w polityce edukacyjnej, zdrowotnej i społecznej (w tym także w kwestii aborcji oraz praw LGBT). I Brzoska. No niech jeszcze i to... Przy beztroskim śnie lewicy i nijakiej postawie Trzeciej Drogi to wszystko razem przygotowuje solidny fundament pod przyszłe rządy populistycznej prawicy, choć niekoniecznie musi to być PiS. Paradoksalnie sporo wskazuje na to, że tę kadencję skończymy stwierdzeniem, że nikt nie zrobił dla prawaków tyle, ile Donald Tusk.

Co knują chłopcy prawicowcy

Być może to scenariusz najczarniejszy, ale nie nierealny. Dlatego świętujemy bardziej niż kiedykolwiek. Wyrok SN z 4 marca jest niby tylko rozwiązaniem prowizorycznym do czasu uchwalenia ustawy o uzgodnieniu płci. Jednak może się okazać – jak to w Polsce lubi się okazywać – że będzie to prowizorka na kolejne długie lata. Albo będzie ostatnią szansą na dokonanie korekty płci metrykalnej. Na prawicy nie brakuje bowiem pomysłów takich uregulowań prawnych, które wszystkie środowiska LGBT mogłyby wywalić na margines społeczeństwa. Wystarczy przypomnieć, że po sejmie wciąż pałęta się projekt ustawy (wniesiony przez Ordo Iuris) prowadzącej do niemal całkowitego zakazu korekty płci. Ledwie dwa tygodnie temu niejaki Marcin Romanowski – były wiceZiobro, podejrzany o liczne przestępstwa i zbiegły pod szatę Orbána – chwali się na platformie X projektem ustawy, która na wzór putinowski właściwie zdelegalizowałaby całą społeczność LGBT. Chłopaki po tamtej stronie rzeczywistości mają mnóstwo podobnych pomysłów i trzeba liczyć się z tym, że nie zważają się ich użyć, gdy tylko znów dorwą się do władzy.

Podziękujmy więc Zbigniewowi Z. Dzięki jego zajadłości w nienawiści do osób trans mamy prawdziwy przełom w sprawie. Gdyby nie złożył tego wniosku do SN, nic by nie ruszyło z miejsca.

EDYTA BAKER

Nie bać biskupów!

Wciąż istnieje takie gremium jak Konferencja Episkopatu Polski. Jego członkowie czują się wszakże olewani przez wszystkich. Nie słuchają ich młodzi ani starzy, tymczasem oni posłuchu łakną jak kania dżdżu i ten olewczy stosunek bardzo ich rozsierdza. Proszą i groźbą upominają się o szacunek, do którego zostali przyzwyczajeni. „Dla niektórych Kościół to obciach, dla innych – po prostu obojętność” – stwierdził niedawno bepe Grzegorz Suchodolski z Siedlec. Media mają tyle tematów, że żadna „tęczowa zaraza” ani inne zakłęcia nie są w stanie się przebić do serwisów informacyjnych. Szczególnie martwi ekscelencje obojętność ze strony władzy, która ma ważniejsze rzeczy na głowie niż robienie laski „pasterzom”. Biskupi w tej sytuacji upodlili się do tego stopnia, że stawiają na dialog i kompromis. To przekroczenie wielkiej bariery psychologicznej dla tych, którzy przyzwyczajeni są do monologowania z ambony lub pisania przydługich listów.

Rżnięci piłą

Słowo „dialog” padało wielokrotnie i we wszystkich przypadkach podczas konferencji „Relacje państwo–Kościół. Podstawowe zasady państwa prawa” zorganizowanej w siedzibie episkopatu. Emocje były mniejsze niż w Gabinetie Ovalnym w czasie wizyty Zelenskigo, a przynajmniej lepiej ukrywane. Nie wszyscy byli w garniturach, kler przyszedł w strojach roboczych. Hierarchowie Kościoła kat. dbają o zabezpieczenie przyszłości podupadającej instytucji, zaprosili więc przedstawicieli rządu, ze strony którego spodziewają się „opiłowania” przywilejów.

– Trzeba to wyraźnie powiedzieć: ci, którzy pragną „opiłować” Kościół, którzy z nim walczą jak z wrogiem, chcą go ograniczać, nie służą sprawie jedności narodu, ale doprowadzają do kolejnego podziału w społeczeństwie – przestrzegali niedawno abepe Józef Kupny, zastępca przewodniczącego konferencji episkopatu.

– Dialog jest konieczny, nie wyobrażam sobie, aby go nie prowadzić. Jest wiele obszarów, w których państwo i Kościół się spotykają. To nie są odrębne rzeczywistości – koncyliacyjnie rozpoczął imprezę tenże abepe Kupny. Zabawiał publikę anegdotami, choćby taką, że Kościół nauczył Polaków czytać i pisać, dlatego nie powinien być teraz odpawany od szkoły. Zapomniał dodać, że ludzie Kościoła, gdy uczyli czytać i pi-

Resorty siłowe kontra dywizja papieska

sać, uczyli też co czytać i co pisać, a ignorowanie tych instrukcji surowo karali. Słuchając przemowy Kupnego, można było odnieść wrażenie, że gdyby nie jego firma, żylibyśmy w utopii Kononowicza, w której nie byłoby niczego.

Ręce, które płacą

Jako starzejące się społeczeństwo musimy dbać o dobrostan funkcjonariuszy Pana Boga, bowiem to oni w dużej mierze prowadzą domy opieki i inne inicjatywy pomocowe – sugeruje przedstawiciel episkopatu. Kto nam poda na starość szklankę wody jak nie siostra zakonna? Argument o tyle chybiony, że kościelny personel także się starzeje, a nowych chętnych brak. Chyba że Kupnemu chodzi o to, byśmy przymuszali młodzież do wstępowania do seminarium i zakonów, tym samym zmniejszając liczebność potencjalnych reproduktorów i urządzając zamach na demografię. Arcybiskup wydawał się święcie przekonany, że Polska wisi na Kościele.

– Nie można Kościoła zostawić z tymi wszystkimi zadaniami. Potrzebujemy współpracy i pomocy państwa. Tych obszarów jest zbyt wiele, nie można się obrażać i żyć obok siebie, nie podając sobie ręki – konkludował arcybiskup, przez grzeczność nie dodając, że w rządowej ręce ma być forsa. Była to przecież dyskusja dżentelmeńska, a dżentelmeni o forsie nie rozmawiają.



RYS. OBYWATEL JANEK

Równie uprzejmy był minister spraw wewnętrznych Tomasz Siemoniak.

– Jeśli chodzi o mnie jako współprzewodniczącego Komisji Wspólnej, chcę zadeklarować własnie dialog, koncyliację i konsensus jako podstawę działania – wtórował Kupnemu. Stwierdził też, że właściwie to obecna formuła współpracy rządu i episkopatu w ramach komisji wspólnej jest spoko i nie ma co psuć.

– Jestem przekonany, że ten model jest właściwy, a dotychczasowe prace pokazały, że nawet jeśli występują różnice zdań, dialog opiera się na współpracy i odpowiedzialności – lał święconą wodę Siemoniak. Jak na szefa resortu siłowego wykazał się wyjątkową delikatnością, zwłaszcza że kler stracił swoją pozycję siły. Mówiąc językiem Trumpa, duchowieństwo „nie ma kart”, pozostały mu w ręku tylko święte obrazy.

Dupa i kij

Nie popisał się też odwagą Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i minister obrony narodowej oraz przewodniczący Międzyresortowego Zespołu ds. Funduszu Kościelnego.

– Jestem otwarty na daleko idącą współpracę z Kościołami. Czy to się zakończy pozytywnie w parlamencie? Tego nie wiem, bo stronnictwa polityczne będą decydować dopiero w finale, ale

warto tę pracę wykonać – mówił szef ludowców od lat zblatowanych z Kościołem.

Kosiniak-Kamysz jest zwolennikiem zamiany Funduszu Kościelnego na odpis podatkowy, ale to z kolei nie w smak biskupom, którzy uważają, że państwo ma wobec nich zobowiązania finansowe. W ramach Komisji Majątkowej odzyskali już więcej, niż mieli, ale cudowne rozmnożenia są przecież ich specjalnością. Gdy chodzi o pieniądze, purpury nie są już takimi potulnymi barankami.

– Przy całym systemie pracy dotyczącej odnawiania dóbr Kościołowi, przeszło 60 tys. hektarów tylko własności ziemskich, kościelnych jest w rękach państwa. I to nie leży odłogiem. To pracuje dzisiaj, to rodzi pieniądze – wyliczał prymas Wojciech Polak. A Fundusz Kościelny to ponad 200 mln zł rocznie i te pieniądze pracują na dobrobyt kleru, głównie katolickiego.

Ks. Józef Tischner mówił klerykom, że dialog w Kościele to dialog dupy z kijem. Dialog polskich władz z Kościołem to z kolei rozmowa dup wołowych z kijem. Choć kij nie ma już wartości bojowej, odruch Pawłowa wciąż każe ministrom czapkować na widok fioletowej piuski. Donald Tusk zapowiadał wprowadzić „spowiedź powszechną” rządu, ale inaczej ją sobie wyobrażaliśmy.

Sztab Trzaskowskiego miał ostatnio zamówić badania, z których wynika, że większości Polaków Kościół wisi. Trzeba było na to wydać 100 tys. zł, bo wszystko, co związane z klerem, kosztuje.

Nawet pisowcy wiedzą, że z sojuszu tronu z ołtarzem nie da się już więcej wycisnąć. Ale wdrukowany respekt przed sutanną pozostał. Tymczasem – parafrazując Morawieckiego – „ten wirus jest w odwrócie i nie trzeba się go bać”. Albo – jak niegramatycznie krzyczą fani Kaczyńskiego o Tusku – „nie bać biskupów!”. Tej widzy – albo odwagi, by jej użyć – zabrakło ministrowi na spotkaniu z episkopatem. Na razie w Polsce jak w „Rejsie”: „Dialogi niedobre... Bardzo niedobre dialogi są. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje”.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Pora brać się za podsumowanie dokonań papieża. Tego papieża.

Od kiedy – 13 marca 2013 r. – kardynała Jorge Bergoglio ogłoszono papieżem Franciszkiem, liczba katolików na świecie spadła ponoć o 65 mln owieczek. Ponoć, bo według źródeł watykańskich nie tylko nie spadła, ale nawet wzrosła – tak wychodzi im ze statystyk chrztów. To, że potem świecczej, ale bez apostazji, kościelnych statystyków nie interesuje.

Takie dane zbierają natomiast poszczególne narodowe spisy powszechne. W Polsce – GUS. Jego dane mówią, że o ile w 2011 r. przynależność do Kościoła kat. zadeklarowało 88,8 proc. Polaków, to po 10 latach odnotowano takich osób już 71,3 proc. Katolików ubywa u nas ponad 7 mln. W związku z czym każdy ateista i agnostyk winien uznać, że pontyfikat papieża Franciszka jest w porządku.

Wojna na gesty

Na wieść o wyborze papieża z Argentyny media dostały spazmów, a wszystko, co robiła nowa Świątobliwość, było rewolucyjne, szokujące albo co najmniej zaskakujące.

Zaczęło się od tego, że gdy papież miał wyjść i objawić się światu jako szef Kościoła kat., nie przywdział kolorowego dywanika, mającego robić za pelerynkę. Wyszedł na balkon ubrany tak, jak nosili się Paweł VI, Jan Paweł I i rzecz jasna Wojtyła. Benedykt XVI z tego grona wypada, bo preferował strój będący mieszaniną przyzdiewku krasnoludka i św. Mikołaja. Dla mediów najistotniejsze było, że Bergoglio spontonował ceremoniarza słowami: *niech książd sam to włoży, karnarwał się skończył*.

Równie entuzjastycznie publikatory podeszły do kwestii papieskiego obuwia. Rewolucjonista Bergoglio zażyzył sobie bowiem chodzenia w butach koloru czarnego.

Dla watykanistów był to szok. W końcu papieskie obuwie to nie byle co. W 1958 r. papież Jan XXIII w ramach reformy Kościoła dodał do papieskich czerwonych półbutów złote zapinki. W 1969 r. papież Paweł VI usunął zapinki. W czerwonych butach paradowali też poprzednik Wojtyły i jego niemiecki następca. Sam Jan Paweł II na początku pontyfikatu też nosił czerwone buty, potem jednak zmienił kolor na brązowy.

Jak przyczliła sprawa obuwia, Bergoglio zaszkokował po raz kolejny. Wyruszył z Watykanu do rzymskiego szpitala nawiedzić chorego kardynała. Łał – zajęczały media. Zajęczały, bo nikomu nie chciało się sprawdzić, że Franciszek splagiataował Wojtyłę.

Ala Bergoglio w szokowaniu mediów nie ustawał. Nie chciał bowiem mieszkać w papieskich apartamentach i zadowolił się w kardynalskim hotelu o nazwie Dom św. Marty, gdzie ma do dyspozycji dwa wielkie pokoje i gabinet. A że pozostali członkowie dworu papieskiego i reszta oficjalistów wciąż zamieszkiwali pozostałe pomieszczenia pałacu papieskiego...

Wszystkie te puste gesty papieża byłyby niczym, gdyby nie wojna, którą na wstępie wypowiedział oficjelowi Kurii Rzymskiej. Papież wygłaszał na prawo i lewo tezy o skromności i ubóstwie. Potępił karierowiczów w czerwonych biretach, ogłaszał krucjatę przeciw watykańskim mafiom homoseksualnym i korupcyjnym. Ale jakoś owoców tego nie było.

Za to co chwila wystrzeliwał z siebie kolejne „rewolucyjne” deklaracje w stylu: *Lud wybacz księdzu potknięcie uczuciowe albo to, że ktoś pije trochę za dużo wina, ale nie przebaczy przywiązania do pieniędzy i próżności...* I dodawał: *Musimy walczyć o to, by w Kościele nie było tych dwóch zjawisk*. O tym, jak walczyć, oczywiście nie mówił.

Wojna na słowa

Synod zwołany przez papieża szykował się na rewolucję wszechświatową. Kościół miał przyznać prawa homoseksualistom i przywrócić na łono rozwodników.

Po pierwszych dniach okazało się, że nic z tego będzie. Krucjata hierarchów pod hasłem „nie będzie gender pluł nam w twarz” zwyciężyła. Synod wypłuł z siebie taki zapis: *Kościół potwierdza zarazem, że związki między osobami tej samej płci nie mogą być zrównane z małżeństwem mężczyzny i kobiety. Nie jest tym bardziej dopuszczalne wywieranie presji na postawy duszpasterzy oraz to, by instytucje międzynarodowe uzależniały pomoc finansową od wprowadzenia norm inspirowanych ideologią gender...* Kwestia dopuszczenia rozwodników do sakramentów też się rozwołała i nie stało na niczym oprócz okrągłych, nieznaczących frazesów. Jak następujący cytat: *Sprawa komunii dla*

osób rozwiedzionych będących w nowych związkach wymaga dalszego pogłębienia.

Przez cały pontyfikat Franciszkowi chodziło o to, żeby przypodobać się wszystkim. Homoseksualistom mówił, że wcale nie są be. Rozwodnikom opowiadał, że wróć do zjadania komunikantów. Kobietom, że są najważniejsze i nawet jeśli stosują antykoncepcję, to niekoniecznie grzeszą. Księża katolicki usłyszeli, że pora pomyśleć o zreformowaniu celibatu. Dla biskupów i kardynałów poszedł zaś przekaz – tyle że na spotkaniach zamkniętych, jak to z okazji Dni Młodzieży w Polsce – żeby się nie martwili, bo wszystko zostanie, jak było, pod tym wszakże warunkiem, że trzeba będzie trochę poudawać.

No to episkopaty udawały. Nasz na przykład walczył o to, żeby imigranci mieli dobrze. Chiłjski udawał, że sam wylapuje pedofili w kolo-ratkach. Irlandzki – że rozlicza się z niechlubną przeszłością. A niemiecki i austriacki – że tamtejszy Kościół katolicki to kościół ubogich.

Hierarchowie dostrzegli, że jak gdzieś nie ma skandali, to papież się nie cze-pia. A przede wszystkim nie miesza w sprawach kadrowych. Mógłby przecież wszędzie powołać takich biskupów, którzy będą robili to, co Franciszek głosi. Ale nie.

Przeważnie było tak jak z naszym Jędraszewskim. Facetem zdawałoby się z najodleglejszej od franciszkowskiej bajki, który objął prestiżową kurię krakowską.

Aż dziw, że przez te wszystkie lata nikt nie zadawał pytań. Choćby dlaczego sprawa kapłaństwa kobiet skończyła się powiedzeniem Franciszka: *ostatnie słowo w tej sprawie jasno wypowiedział Jan Paweł II i jest ono trwałe*. To słowo to oczywiście „nie”.

Tak samo z poluzowaniem celibatu – nie i koniec. Chyba że w krajach, gdzie brakuje księży, koloratkę chce przywdziać żonaty już facet – wtedy tak.

O antykoncepcji – po samolotowej gadce do dziennikarza o zrozumieniu dla kobiety – papież głosu już nie zabrał. Z opowieści, że geje też są dziećmi Boga, przeszedł do pouczenia rodziców homoseksualnych dzieci, żeby mówili im: *Jestem twoim ojcem, twoją matką, porozmawiajmy, nie wyrzucę cię z rodziny*.

Majstersztykiem manipulacji okazało się rozwiązanie sprawy rozwodników. Franciszek umożliwił im uczestniczenie we mszy, wprowadzając uproszczone procedury „kościelnych rozwodów”. Teraz są tańsze i łatwiejsze do uzyskania. Procedura została skrócona z trzech lat do paru miesięcy. Ale wciąż kościelny rozwód to Himalaje hipokryzji. Proces o stwierdzenie nieważności małżeństwa kanonicznego ma bowiem ustalić, czy z określonych powodów małżeństwo nie zostało nigdy ważnie zawarte, czyli nigdy nie zaistniało w sensie prawnym i nie wywołało w związku z tym żadnych skutków. I nic to, że ludzie byli ze sobą przez dekady, i nic to, że mają prychówek. Ważne, że sąd biskupi stwierdził brak wystarczającego używania rozumu albo błąd co do przynajmniej osoby i liczące 20 lat stało w myśl katolickiego prawa nigdy nie istniało, a poczęte w nim dzieci to bękarty.

Papież załatwił uproszczeniem tej procedury po dwakroć szybki szmal dla Kościoła. Raz stąd, że unieważnienie kosztuje stosowną kasę dla sądu biskupiego. A potem trzeba znowu rzucić coś na tacę podczas kolejnego kościelnego ślubu, no i oczywiście co niedziela.

Co dzień od nowa

Postępowość Franciszka nie dotyczyła krajów, w których katolicyzm miał się tak dobrze jak

w rządzonej przez PiS Polsce. Gdzie indziej już tak fajnie nie było. Pogłowie katolików spadało. Im mniej owieczek, tym skromniejsze datki na tacę, zapowiedzi, śluby, pogrzeby i inne msze. Prosta działalność misjonarska księżom katolickim nieszczególnie wychodziła. Protestanci mieli lepszą ofertę i wygrywali w krajach, gdzie toczyła się walka o wiernych, czyli głównie w Afryce. Ale nawet w Ameryce Południowej, skąd Bergoglio pochodzi, północnoamerykańskie kościoły masowo odbijały wiernych parafiom katolickim.

Jan XXIII został papieżem w tym samym wieku co Bergoglio. Po trzech latach zrobił w Kościele taką rewolucję, jakiej świat katolicki od dawną nie widział. W jego przypadku się dało. Mimo iż ówczesni kardynałowie to – w stosunku do dzisiejszych – beton absolutny, doprowadził do takiej zmiany oblicza katolicyzmu, która do czasów Wojtyły mogła ludzić świat swoją otwartością. Franciszek w porównaniu z papieżem sprzed 55 lat nie zrobił nic.

Był dobrze sprzedającą się maskotką i niczym więcej. Jego konta na X, Instagramie czy innych Facebookach przyjmowanie były jako wielkie otwarcie na świat. Nikt nie widział, że to standardowy zabieg tworzący wizerunek papieża?

Sko-ro jest napisane „po owocach poznacie ich”, to poznajmy.

Homoseksualność – czy coś się w tej kwestii w procedurach kościelnych zmieniło? Oprócz paru wypowiedzi papieża i kilku wymijających wypowiedzi hierarchów absolutnie nic. Aborcja i eutanazja? Toż to zło absolutne. In vitro? Niedopuszczalne. Wpływ świeckich na parafie i diecezje? Gdzieżby tam.

Watykańscy propagandziści wciskają kit, że papież chciał dobrze, ale krajowe episkopaty są opanowane przez konserwatystów i dają ojcu świętemu skuteczny odpór.

To łągarstwo. Kodeks prawa kanonicznego w kanonie 331 stanowi: *Biskup Kościoła Rzymskiego, w którym trwa urząd udzielony przez Pana samemu Piotrowi, pierwszemu z Apostołów, a który ma być przekazywany jego następcom, jest Głową Kolegium Biskupów, Zastępcą Chrystusa i Pasterzem całego Kościoła tutaj na ziemi. Dlatego, z racji swego urzędu, posiada on najwyższą, pełną, bezpośrednią i powszechną władzę zwyczajną w Kościele, którą może wykonywać zawsze w sposób nieskrępowany*. Znaczy to, że papież jakby chciał, to mógłby to zrobić, bo ma władzę absolutną.

Na tym nie koniec. Wszak Kościół katolicki jest instytucją hierarchiczną, na której czele stoi facet wyposażony w dogmat nieomyślności i Kanon 273: *Duchowni mają szczególny obowiązek okazywania szacunku i posłuszeństwa Papieżowi*.

Przez 12 lat Bergoglio, gdyby chciał, wysłałby więc na emeryturę wszystkich członków episkopatów krajowych, którzy mieliby inną wizję świata niż papieska. Synod byłby złożony wtedy w znakomitej większości z biskupów równie dobrych i postępowych jak Franciszek.

Jako jezuita Bergoglio doskonale znał wagę cnoty posłuszeństwa. I gdyby naprawdę chciał realizować wszystko, co udawał, że chce – nie zawahałby się jej użyć. Niestety, czyniąc katolicyzm znowu wielkim.

TADEUSZ JASIŃSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Ci, którzy już dawno wyrzucili Jezusa ze swojego sumienia, od czasu do czasu piszcza (wycierając przy tym swą twarz ks. Tischnerem czy ks. Kaczkovskim), że „przez takich ludzi do Kościoła nie chodzą”. **Niedojrzały szantaż i gra na emocjach. Wykrzyczeliby to nawet Popiełuszko.**

ks. Daniel Wachowiak, X, 28 lutego

■ Czy Donald Trump pomoże rozpaść się komunistycznej Unii Europejskiej (transhumanizm, genderyzm, „zielony

łag”)”? **Czy jego decyzje dotyczące wzmocnienia potęgi USA będą początkiem końca komunizmu europejskiego? Czy swoją postawą zmotywuje do działania rozsądnych ludzi w Europie?**

fr. Jacek Dąbrowski, X, 27 lutego

■ Trudno uzmysłowić sobie determinację, z jaką obecna władza Rzeczypospolitej dąży do zniszczenia tego, co jest ściśle polskie, promujące polskość, będące wyrazem dumy narodowej i stanowiące ogromny przekaz edukacyjny zarówno dla Polaków, jak i obcokrajowców. **Jeśli nawet przyjąć, że motywem działania jest tutaj jakaś alergja na katolicyzm, że jest to pragnienie opitowywania katolików, to przecież nie sposób zrozumieć tej determinacji niszczenia polskości. W swoim zaciętrzewieniu władza jakby nie dostrzega, że sama wyznacza granicę podzia-**

łu, którego nie da się już pewnie zatrzeć – z jednej strony są „oni”, z drugiej jesteśmy „my”, Naród Polski.

ks. Paweł Bortkiewicz, „Nasz Dziennik”, 23 lutego

■ **Mamy dzisiaj już nie spór w zakresie edukacji, kultury i nauki, ale wojnę cywilizacyjną.** Z jednej strony jest antyludzka ideologia wystająca z marksizmu, która promuje niezmiennie jako naczelną wartość niszczytel-ską walkę. Z drugiej strony jest kultura chrześcijańska, która wzywa do pokonania zła dobrem, rozumem, miłością. **Dzieje świata przekonują o skuteczności chrześcijaństwa i jego orędzia, ale w krótkim odcinku czasu zło może się panoszyć.**

dalej Bortkiewicz

■ Z naukowego i ekonomicznego punktu widzenia decyzja o budowie Centrum Leczenia Niepłodności w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. Najświętszej Maryi Panny w Częstochowie, które opiera się na procedurze in vitro (...), jest po prostu prawnym buble-m. Tego nie można w ten sposób robić.

Dlaczego nie wypróbują innych, tańszych metod leczenia? Tylko dlatego, że poleca je Kościół? Tylko dlatego, że mówią o tym niezależni lekarze, którzy nie dali

się uwieść wielkim koncertom farmaceutycznym?

dr Artur Dąbrowski (prezes Akcji Katolickiej archidiecezji częstochowskiej), Radio Maryja, 23 lutego

■ **Urzędujący od miesiąca prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump swoimi pierwszymi decyzjami zadał kilka poważnych ciosów cywilizacji śmierci rozszerzającej się w ostatnich latach w tempie błyskawicznym. (...) W ciągu miesiąca swojego urzędowania prezydent Trump, który nie jest katolikiem i którego życie osobiste – jak sam mówił – dalekie jest od chrześcijańskiego ideału, zrobił więcej dla cywilizacji życia niż niejeden polityk mieniący się katolikiem.**

prof. Grzegorz Kucharczyk, Radio Maryja, 22 lutego

■ **Mimo katofobicznego ogłupienia wielu posłów można być raczej pewnym, że zakaz spowiedzi nie będzie dalej poważnie procedowany. Cała ta sprawa została raczej wywołana po to, by po raz kolejny pluć na katolicyzm i prać mózgi dzieciom i rodzicom. Komuna się przepoczwacza; była sowiecka, teraz jest liberalna.** Ale pozostał ten sam rewolucyjny obłęd, by stworzyć nowego człowieka bez Boga.

ks. prof. Dariusz Kowalczyk, PCh24.pl, 28 lutego

KLECHA



Przekręt na 200 dużych baniek

Swego czasu zapatrzony w filozofa uczeń spytał: – Mistrzu, pragnę zrobić coś wielkiego i czystego...

– Umyj słonia – zalecił trzeźwo mędrzec.

Od prawie dwóch dekad politycy wszystkich opcji zgodnie chcą zrobić coś (bezsprzecznie) wielkiego i (rzekomo) czystego, a mianowicie zbudować elektrownie atomowe. W liczbie mnogiej, bo w przestrzeni publicznej pojawia się tyle planów budowy dużych i małych elektrowni jądrowych, że niedługo przyjdzie nam czekać, aż któraś z partii – w ramach typowego dla państwa z dyktu idiotyzmu i tromtadacji – wyniesie na sztandary hasło: „Elektrownia jądrowa w każdym województwie!”.

Zgoda rujnuje

Politycy wszystkich opcji, od Konfederacji po Partię Razem, żrą się w Polsce niemal o wszystko. Czekam, kiedy będzie wprowadzony osobny czas dla konserwatystów, inny dla liberałów, a jeszcze kolejny dla lewaków; nie może wszak być tak, że jak spytam prawaka o godzinę, to on poda ją w sposób rzetelny. Kiedy jednak przychodzi do wydatkowania setek miliardów złotych – mamy do czynienia z pełną zgodą w sejmie.

I tu jak zwykle mamy dwie szkoły: falenicką i otwocką.

Szkoła falenicka mówi: skoro od skrajnej prawicy przez konserwatystów i liberałów po razemistów wszyscy wybierają nóżkami, aby budować atom, to widocznie jest to kwestia, która jest oczywista i pewna. Taka, w obliczu której spory muszą ucichnąć, idzie bowiem o przyszłość kraju i społeczeństwa.

Szkoła otwocka mówi: szczególną ostrożność trzeba zachować nie wtedy, gdy partie się kłócą – od tego są partiami, by ze sobą walczyć – ale gdy zanika różnorodność opinii. Bo w stadzie najczęściej chodzą barany. Oczywiście, trzeba tu pamiętać uwagę Korwina sprzed lat: „większość to idioci, ale na czele stoją cwani oszuści”.

I nie ma sensu powoływać się na badania opinii publicznej, które są proatomowe. Jak mawia arabskie przysłowie, przez powtarzanie nawet osły się uczą. Kiedy media głównego nurtu i politycy wszystkich opcji od kilkunastu lat powtarzają do wyrznięcia, że potrzebujemy elektrowni atomowych – to co może pomyśleć zwykły człowiek? Jakże ma narzędzia, aby wyrobić sobie własne zdanie?

Wybitny konserwatywny historyk idei Bronisław Łagowski swego czasu trafnie zauważył, że cechą polskich mediów jest stadne myślenie i stawianie ludzi do pionu, aby wszyscy myśleli tak, jak trzeba, tłumiąc wszelką dyskusję. Tak było w przypadku promowanej od lat energetyki atomowej. Przede wszystkim inwestowanie – a tylko pierwsza elektrownia jądrowa na Pomorzu ma kosztować 192 mld zł! – w atom to racja stanu, konieczność, element odejścia od węgla, kwestia bezpieczeństwa energetycznego, nie wspominając o zwykłych ludziach i przemyśle, który będzie potrzebował coraz więcej energii...

Pancerniki Tuska

Prawie nikt się nie zająknął, czy są jakieś alternatywy? Może tańsze? Może efektywniejsze?

Zastanawia mnie też swoista schizofrenia i paradoks polskiej polityki, czy za rządów PiS-u, czy za PO (jak mawia mój znajomy: PiS, PO – jedno zło). A mianowicie wydajemy krocie na zbrojenia, bo tuż, tuż jest wojna z Rosją, a my musimy być gotowi, by się bronić przed szaleńcem Putinem. Abstrahując już od absurdałności idei, że Rosja zaatakuje kraj NATO – zwłaszcza gdy ze wspieraną przez Sojusz Północnoatlantyczny Ukrainą idzie jej dość średnio – to jak ma się stawianie elektrowni atomowych do podobno realnego zagrożenia ze Wschodu? Przecież bloki jądrowe to idealny cel dla rakiet i dronów, a zniszczenie ich może przynieść katastrofalne skutki w postaci – z jednej strony – promieniowania, z drugiej zaś pozbawienia kraju energii elektrycznej.

Tu dotykamy kluczowej kwestii, która jest na styku polityki, gospodarki i technologii. Przemiany naszego świata

pokazują, że obecnie kluczowa jest odporność różnych systemów na wszelkie – spodziewane i niespodziewane, przypadkowe lub spowodowane celowym szkodnictwem człowieka – zakłócenia.

Wielka elektrownia atomowa to wielki problem. Wymaga choćby ogromnych nakładów na przesył energii, który potencjalnie łatwo zakłócić, nawet przypadkowo. Stojąca za nią ideologia przypomina budowanie przez Trzecią Rzeszę ogromnych pancerników, uzbrojonych po zęby, ale nieruchawych i takich, które – jak się okazało – są łatwym celem dla bombowców i mniejszych jednostek. Z punktu widzenia bezpieczeństwa militarnego i energetycznego elektrownia atomowa jako podstawa energetyki to połączenie fantastyki i proszenia się o problemy.

Za mniejsze pieniądze można by osiągnąć



znacznie lepsze efekty, ale przecież byłaby to codzienna praca u podstaw (fotowoltaika, wiatraki, a nade wszystko magazyny energii), a my kochamy faraonskie inwestycje, które zapierają dech w piersiach.

Mamy atom od 2020

Historyk Donald Tusk ma jakiegoś pierdolca na punkcie dziejów kraju. Teraz razem z miliarderem Rafałem Brzuską będzie przedstawiał plan deregulacji na tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego. Czyli będzie takim Chrobrym naszych czasów... Rzecz w tym, że tak naprawdę to cieni Bolek i żeby tego dowiedzieć, nie muszę sięgać do średniowiecza, wystarczy cofnąć się do 2009 r., czyli poprzednich jego rządów.

Właśnie wtedy ówczesny premier Tusk zapowiedział, że pierwsza polska elektrownia atomowa ruszy za 11 lat, czyli w 2020 r. 16 lat później obecny premier Tusk – ten sam, a nawet taki sam – mówi, że pierwsza elektrownia atomowa ruszy za 11 lat, czyli w 2036 r. To cwana PR-owa zagrywka: za 11 lat nikt nie będzie pamiętał o obietnicy z 2025 r., tak jak nie pamiętał o pierwszej obietnicy.

I tak jak dzisiaj eksperci (czytaj: lobyści) przekonują, że atom musi powstać, tak czynili paręnaście lat temu. W 2009 r. Agencja Rynku Energii – instytucja, która szykuje oficjalne prognozy dla rządu – orzekła autorytatywnie, że do 2025 r. zużycie energii elektrycznej wzrośnie do 243 TWh, więc już na początku lat 20. bez atomu zabraknie prądu. A jakie było faktyczne zużycie prądu w zeszłym roku? Ok. 170 TWh, czyli o jedną trzecią mniej niż zakładano.

Mój znajomy biznesmen zwykł opowiadać, że z trzech rzeczy, które są pożądane w interesach (dobrze, szybko, tanio), naraz można mieć tylko dwie – coś może być zrobione dobrze i tanio, ale nie szybko, bądź szybko i tanio, ale nie dobrze itd. Pewnie miał rację, ale jednak historia polskiego atomu dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że jest trzecia opcja: można mieć coś zrobione źle, wolno i drogo. A może nawet drogo i nic nie mieć?

Kiedy ktoś bierze się do budowy czegośkolwiek – nieważne, garażu czy elektrowni jądrowej – musi sobie zadać jedno fundamentalne pytanie: ile to będzie kosztować. A następnie szuka wykonawcy, aby zoptymalizować czas inwestycji i jej koszty.

Ale normalna logika nie obowiązuje w Polsce. My doskonale wiemy, kto będzie budował – wybrany przez PiS amerykański koncern Westinghouse-Bechtel – ale do dzisiaj nie mamy pojęcia, jaki będzie tego koszt i czas trwania inwestycji do momentu, gdy prąd popłynie kablami z reaktorów jądrowych.

Gwoli ścisłości, nie ma się co przyzwyczajając do astronomicznej kwoty 192 mld zł za trzy bloki energetyczne, z których pierwszy ma powstać w roku 2036. Poza tym ta kwota to typowa ściema, bo nie bierze pod uwagę kosztu pieniądza w czasie – wszak kredyty na atom będziemy spłacać przez dziesięciolecia.

Żadam wolnego rynku!

Jestem ekosocjalistką i zaprzysięgłą przeciwniczką, wroginią – chyba tak dziś trzeba pisać – kapitalizmu. Ale jako marksistka znająca prawie na pamięć „Manifest komunistyczny” przytoczę jego słynny fragment: *Ciągły przewrót w produkcji, bezustanne wstrząsanie wszystkimi stosunkami społecznymi, wieczna niepełność i wieczny ruch – wyróżniają epokę burżuazyjną spośród wszystkich innych. Wszystkie stęzałe, zasniedziałe stosunki, wraz z nieodłącznymi od nich z dławien dawna uświęconymi pojęciami i poglądami, ulegają rozkładowi, wszystkie nowopowstałe starzeją się, zanim zdążą skostnieć.*

Innowacje w dziedzinie czystej energetyki, w dużym stopniu napędzane przez krociowe inwestycje chińskich towarzyszy (tego Marks z Engelsem nie przewidzieli!), przynoszą wręcz szokujące postępy w sferze odnawialnych źródeł energii. *Czas między wynalezieniem nowych – często znacznie tańszych i bardziej ekologicznych – technologii a ich wdrożeniem jest krótszy niż kiedykolwiek. Rodzi to pytanie: po jaki chuj się pchać w starą technologię, gdy na horyzoncie wylaniają się norwe?*

Tymczasem rząd zakłada, że pierwsza elektrownia atomowa będzie produkować prąd do... 2098 r.!

Nie jest otóż przypadkiem, że pierwszy Tusk roił sobie, że atom zbudują prywatne firmy za swoją kasę. Kto bogatemu zabroni robić świetne interesy, myślał neoliberal Donald, który na gospodarce zna się jak kura na pieprzu. Drugi Tusk natomiast wie, że biznes chętnie zainteresuje się inwestycją w energetykę atomową, lecz wyłącznie, gdy będzie miał pewne zyski i żadnego ryzyka.

Prywatne zyski, państwowe straty

Bo prawdziwy biznes – w odróżnieniu od jego komiksowej wersji rodem z bajek Sławomira Mentzena – nie kocha wolnego rynku; kocha zyski. Najlepsze interesy robi się z państwem, zwłaszcza gdy prywatyzuje się zyski, a społecznia koszty – szczególnie nieuchronne straty.

Jest dokładnie tak jak z bankami, które właśnie notują wielomiliardowe zyski wynikające z wysokich stóp procentowych (bo prezes NBP Glapiński robi wszystko, by rzucać kłody pod nogi Tuskiowi, nie oglądając się na społeczeństwo); w tym nieszczęsnego WIBOR-u, który jest fikcyjnym, ale usankcjonowanym państwowo wskaźnikiem. Banki, w tym kontrolowane przez państwo, zyskują, kredytobiorcy tracą. Taki jest realny kapitalizm.

Przytoczę dłuższy fragment kapitalnego tekstu z branżowego serwisu Wysokie Napięcia: *Analizy wykazują, że taniej będzie ubezpieczyć bezpieczeństwo energetyczne w oparciu o szereg innych źródeł. Podobnie sytuacja się ma w przypadku innych prognoz, jak choćby niedawnego modelowania przygotowanego przez Bank Światowy. Z tego względu, o ile pierwszy rząd Tuska planował, że elektrownia zostanie zbudowana przez podmioty prywatne (czyt. giełdowe spółki energetyczne kontrolowane przez Skarb Państwa), o tyle dziś ma już świadomość, że jedyna szansa na realizację tego projektu w polskich warunkach to budowa elektrowni na niemal wyłącznie ryzyko państwa i podatników.*

Jeśli budowa atomu to taka świetna inwestycja, niech pieniądze

– własne i pożyczone, jeśli ktoś na wolnym rynku da kredyt – wyłożą prywatne korporacje. Nieważne, polskie czy zagraniczne, w końcu mamy globalny kapitalizm. Nie ma chętnych? Ano nie ma i nie będzie.

Ale polskich polityków to nie zraża i są gotowi brnąć w najkosztowniejszy szwindel w dziejach Rzeczypospolitej, a skutki ich durnych decyzji obciążą nasze dzieci, wnuki, a może i prawnuki...

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Życie w DOBROBYCIE

● GUS policzył, że pod koniec 2024 r. w polskiej gospodarce pracowało 17,25 mln osób. O 76 tys. mniej niż rok wcześniej. Przy okazji tego komunikatu można było poznać nową kategorię Polek i Polaków. Nazywa się ona grupą osób biernych zawodowo, których wyznawcy Petru, Balcerowicza i Mentzena nazwaliby damozjadami. Dla GUS do tej grupy należą osoby w wieku 15–89 lat: uczniowie i niepracujący studenci (22,8 proc. biernych zawodowo), emeryci (51,3 proc.), renciści (10,9 proc.) i osoby wykonujące obowiązki rodzinne (7,5 proc.), a głównie kobiety (11,7 proc. kobiet biernych zawodowo). Kategoria ta jest o tyle zabawna, że wskazywałaby na to, że dla GUS ludźmi, którzy powinni iść do roboty, są dzieciaki małoletnie i ci, którym w oczy zagląda kostucha. Wedle GUS jest ich 12,61 mln, czyli o 118 tys. więcej niż rok wcześniej. Żeby już zupełnie zdyskredytować

statystyczną bierność zawodową, trzeba wspomnieć, że gdy do tej grupy doda się pracujących, to i tak do sumy obywateli Rzeczypospolitej brakuje prawie 8 mln. A gdzie w tym wszystkim około 2 mln pracujących w polskiej gospodarce Ukraińców, Wietnamczyków, Arabów czy Hindusów? GUS bnie jednak w swoje wyliczenia dalej i wychodzi mu, że w grupie wiekowej 15–89 lat osób pracujących mamy o 4,15 mln więcej niż łącznie biernych zawodowo i bezrobotnych. Różnica ta jest o 141 tys. mniejsza niż 12 miesięcy wcześniej i świadczy o tym, że coraz mniej pracujących musi utrzymywać coraz więcej damozjadów. Jeden pracujący utrzymuje 0,76 osób biernych zawodowo i bezrobotnych. No i dzieciami do 15. roku życia oraz seniorów po 90. GUS wyliczył też, że pracuje 778 tys. osób w wieku emerytalnym – w ciągu roku ta liczba wzrosła o 40 tys., czyli o 5,4 proc. Co świadczy o tym, że mają za co żyć. W przeciwieństwie do 2,86 mln leciwych Polek i Polaków, którzy ani nie pracują, ani nie dostają emerytury.

● Firma Worksober.com żyje z pracujących. Konkretnie zaś z tego, że firmy zamawiają u niej usługę dmuchania w alkometr. Pracownicy zamawiającego wiedzą, że mogą zostać

Kontrola absolutna, skuteczność zerowa, miliony w błocie



rys. TOMASZ WATKIN

Zgadnijcie: o jakiej instytucji mowa?

Rozpocznijmy od małej zagadki.

Oto ona: Jaka instytucja, której nazwa składa się z trzech liter, historyczna lub współczesna, cieszyła się lub nadal cieszy następującymi prerogatywami*?

1. Brak nadzoru sądowego i prokuratorskiego
2. Masowy dostęp do danych obywateli
3. Możliwość prowadzenia ukrytej inwigilacji
4. Kontrole terenowe bez nakazu i zgody sądu
5. Monitorowanie podróży i aktywności bez zgody obywatela
6. Weryfikacja medyczna bez zgody pacjenta
7. Współpraca z finansjerą i aparatem skarbowym
8. Automatyczna analiza wyłapująca „podejrzane” osoby
9. Możliwość karania obywateli bez procesu sądowego

Czy to FBI pod rządami Edgara Hoovera, MBP (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) pod batutą Józefa Różańskiego, północnokoreańskie MSS Kima czy może KGB?

Pytanie niełatwe, więc o odpowiedź poprosiłem nasz elektroniczny umysł – Jerzego Urbana, o którym opowiedziałem w numerze NIE 6/25 sprzed trzech tygodni.

Elektroniczny Urban po namyśle, orzekł *Wiele służb specjalnych w historii i współcześnie, w różnym stopniu i w różnych okresach, posiadało lub aspiruje do posiadania części lub wszystkich wymienionych prerogatyw. Władza absolutna korumpuje absolutnie.*

Moja odpowiedź: Na trzy litery.

Urban: SB.

Moja odpowiedź: To są dwie litery.

Urban: *Faktycznie. Zatem KGB.*

Urban niestety się pomylił, więc poszukiwałem innego neutralnego sędziego o jasnym umyśle. Zwróciłem się z tym pytaniem do sztucznej inteligencji – amerykańskiego ChatGPT oraz chińskiej DeepSeek. Tym razem typowanie było trafniejsze, choć niejednoznaczne. Wśród propozycji znalazła się jednak ta prawidłowa.

Ogromny sukces

Instytucją, o którą chodzi, jest ZUS – Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

Powód tej analizy był nader istotny. Rzecznik prasowy ZUS, pan Wojciech Dąbrówka, za pośrednictwem amerykańskiej platformy X (cóż za ironia – polski urzędnik państwowemu komunikuje się ze społeczeństwem przez prywatną amerykańską firmę!) ogłosił *ogromny sukces* swojej in-

stytucji w minionym roku, a mianowicie: *W 2024 roku ZUS przeprowadził 486,4 tys. kontroli zwolnień lekarskich*. Efekt? 36,6 tys. nieprawidłowości i 53 mln zł wstrzymanych zasiłków.

Media naturalnie podchwyciły temat. Dąbrówka z właściwą sobie elokwencją przytoczył anegdoty o remontującym mieszkaniu z chorym kręgosłupem, chodzącym na zakupy leżącym pacjentem, aplikującym o pracę zawodowym rekonwalescencie oraz kobiecie, która miała czelność wziąć ślub podczas zwolnienia. Cztery dramatyczne przypadki na 36 tys. nieprawidłowości. Reszta zapewne blaknie w porównaniu z tymi haniebnymi występami. Konkluzyja? Społeczeństwo to banda oszustów, z którymi należy walczyć. Modus operandi ZUS-u.

Ta „walka” ZUS-u z „nieuczciwymi” obywatelami zasadza się przede wszystkim na zemście za „nienależnie” pobrane pieniądze – chciwości i małostkowości w najczystszej postaci. Z prostej kalkulacji wynika bowiem, że na każdym „symulancie” ZUS odbił sobie średnio nieco ponad 1400 zł. Tyle dają te chlubne 53 mln zł.

Zatem porównywanie ZUS-u do KGB, FBI czy Stasi jest wręcz krzywdzące dla tych instytucji. One działały w imię jakichś wartości nadrzędnych (służsnych czy nie – to inna sprawa). ZUS kieruje się niskimi pobudkami – jak określiłby to sąd. Pieniądze ponad wszystkie wartości, odwet na „przestępcy”, który miał czelność kosić trawę, cierpiąc na „ciężkie” hemoroidy.

Analiza

53 mln zł to nie byle co, prawda? ZUS triumfuje. Ale czy słusznie?

Chwali się skontrolowaniem 486,4 tys. „podejrzanych” zwolnień, by wykryć 36,6 tys. nieprawidłowości. Czyli 450 tys. kontroli poszło jak krew w piach. Wykrywalność „niebezpiecznego społecznego procederu” lewych L4 wyniosła zawrotne 7,5 proc. Innymi słowy, nawet wśród „podejrzanych” tylko 8 na 100 okazało się faktycznie nieuczciwych. Bravo!

No dobrze, ale ktoś przecież musiał wykonać tę tytaniczną pracę. Podałem więc sprawę skrupulatnej, wręcz benedyktyńskiej analizie księgowej, biorąc pod uwagę wszelkie możliwe realistyczne uwarunkowania.

Przyjrzyjmy się kosztom spektaklu. Uwzględniliśmy w mojej rachunkowości: średnią dniówkę pracownika ZUS, szacunkowy czas kontroli zwolnienia (od prostych po wyjątkowo zawiłe

przypadki), koszt godzinowy pracy ZUS-owskiego notabla, koszty pośrednie (IT, administracja), koszty alternatywne, koszty inspektorów (wizyty domowe – ach, te emocje!), koszty pacjentów wzywanych do ZUS, koszty pracodawców, lustrację rachunków bankowych (założyłem, że 1 proc. zwolnień wymagał naruszenia tajemnicy bankowej przez ZUS). Wyszacowałem wartość monitoringu mediów społecznościowych (Facebook – 2 proc. zwolnień), przesłuchania sąsiadów i dodatkowe wywiady (0,5 proc. zwolnień).

Analizę w Excelu przeprowadziłem dwu-, a nawet trzykrotnie, dla pewności. Doliczyłem jeszcze przyszłe koszty sądowe zaskarżonych w rezultacie tych kontroli decyzji zusowskiej administracji (0,5 proc. zwolnień) – przecież prawnicy i sędziowie też muszą z czegoś żyć.

Werdykt

W zależności od wariantu cała ta zabawa kosztowała nas – bagatela – 62,7 mln zł albo prawie równe 70 mln. Taki był koszt społeczny skontrolowania 450 tys. rzeczywiście chorych ludzi i 36 tys. jakoby symulujących, zagładania im na konta i do łóżek, by odebrać 53 mln zł od oszukujących. Strata netto 9,7 lub 17 mln zł. (przy tej wyższej kwocie wychodzi ok. 144 zł na zwolnienie; wyliczenia na życzenie!)

To oczywiście tylko zimna kalkulacja. Nie ukazuje setek tysięcy zmarnowanych godzin pracy, tysięcy urzędników zajętych bezsensownymi czynnościami, ważnych spraw, które trzeba było odłożyć, bo kontrola ważniejsza, nieprawidłowych decyzji i frustracji, jaką taka syzyfowa, głupawa robota musiała powodować u samych funkcjonariuszy ZUS. Do tego jeszcze oburzenie tych 36 tys. ludzi, którzy płacą ubezpieczenie na wypadek choroby, uzyskali zaświadczenie od lekarza, że są chorzy – a teraz jakiś urzędniczyna uzurpuje sobie, że wie lepiej od doktora, i odbiera marne kilkaset złotych.

Największa instytucja finansowa w Polsce najwyraźniej nie umie liczyć. Pozostaje w stanie głębokiej aberracji, niezrozumienia usługowej roli wobec społeczeństwa. To jest bezprzykładna arogancja władzy i zwyczajna głupota (mam na

myśli nie tylko pana Wojciecha Dąbrówkę).

A teraz, żeby oszczędzić Państwu zawiłych wywodów, proszę rzucić okiem jeszcze na wstrząsające zestawienie:

	ZUS	Służby specjalne (np. ABW, CBA, Policja)
Nadzór sądowy i prokuratorski	Brak	Wymagany w wielu przypadkach (np. podsłuchy, śledzenie)
Dostęp do danych obywateli	Automatyczny	Wymaga wniosków i nakazów
Śledzenie podróży i aktywności	Możliwe przez banki, NFZ, skarbowkę	Wymaga decyzji sądu/prokuratury
Kontrola w domach i firmach	Możliwa bez zgody	Wymaga procedur
Przegląd danych medycznych	Pełny dostęp bez zgody pacjenta	Ograniczony i nadzorowany
Analiza big data i AI	Tak, w celu wyłapywania podejrzanych osób	Tak, ale w ramach operacji specjalnych

Wnioski są proste. ZUS cieszy się uprawnieniami większymi niż niejedna służba specjalna, a jego działania pozbawione są realnego nadzoru sądowego czy prokuratorskiego. Obywatele poddawani są kontrolom, inwigilacji i sankcjom bez należytego procesu. ZUS to instytucja nie tylko administracyjna, ale i quasi-policyjna, quasi-śledcza – z tą różnicą, że działa bez sądowej kontroli i ma niemal nieograniczony dostęp do naszych danych.

A do tego te swoje nadzwyczajne uprawnienia wykorzystuje do wyrządzania społeczeństwu horrendalnych strat i przykrości. Instytucja totalna.

ROBERT JARUGA

* Wyjaśnienie: prerogatywy opisane wymagałyby wnikliwszej analizy ustawodawstwa dotyczącego ZUS i regulacji okołoszkowych. Taką analizę przeprowadziłem. Jej objętość przekracza możliwości publikacyjne naszego tygodnika. Ustępnie jednak czytelnikom na żądanie. Zadzajcie, pisząc na adres mailowy: red@jerzyurban.eu

skontrolowani na zawartość alkoholu w organizmie i starają się nie przychodzić do roboty na bani. I tylko tym można wytłumaczyć, że dane Worksober.com wykazały, że ok. 0,8 proc. polskich pracowników przychodzi codziennie do pracy pod wpływem alkoholu. Nie wiadomo, ilu przychodzi niecodziennie, ale pewnie dużo więcej niż wyliczone przez Worksober.com 100 tys. polskich pracujących na promilach każdego dnia. Wiarygodność wyników firmy żyjącej z dmuchania podważają dane ze sklepów monopolowych, mówiące o tym, że dziennie sprzedaje się w nich ok. 3 mln małych wódek. 100 tys. osób nie dałoby temu rady.

● Szwajcarski bank UBS ma swoje biura w Warszawie, Wrocławiu i Krakowie. W naszym kraju pracuje dla UBS 8,7 tys. osób. Ale już niedługo, bo wkrótce 7 proc. z nich straci robotę. Konkretnie zaś 1,2 tys. osób. Najwięcej w Warszawie, bo zapadła decyzja o likwidacji biura firmy w stolicy. Ponieważ – jak to w instytucji finansowej – w polskiej filii UBS nie działają związki zawodowe, to dymu nie ma. Ale jest korpobelkot: *Decyzje podejmowane w Polsce są zgodne z długoterminową strategią UBS, której celem jest dalszy*

stabilny rozwój firmy. Obejmuje to optymalizację strategii zatrudnienia oraz koncentrację na kluczowych obszarach, które zapewnią nam sukces na konkurencyjnym rynku. Skupiając nasze działania w Krakowie i Wrocławiu, dążymy do ułatwienia współpracy między



rys. MIROSŁAW HAJNOS

zespołami, zwiększenia efektywności operacyjnej i wzmocnienia fundamentów do ciągłego rozwoju w przyszłości – wyjaśnia nie do końca szczerze UBS. Chodzi bowiem o to, że bank po przejęciu Credit Swiss ogłosił redukcję 30 tys. miejsc pracy, z tego 11 tys. w samej Szwajcarii. Gdyby jednak komuś zdawało się, że wywalanie ludzi z roboty bierze się stąd, że banki cienko przęda, to nic z tych rzeczy. Zysk sektora bankowego w Polsce w zeszłym roku wyniósł 42 mld zł, czyli wzrósł o 51,9 proc. rok do roku.

● Na szczęście polskie bezrobocie przysta znacznie wolniej niż profity banksterów. W styczniu wyniosło 5,4 proc. i wzrosło o 0,4 pkt proc. w porównaniu z grudniem. Ale rok do roku pozostało niemal bez zmian. W co – czytając nieustannie informacje o zwolnieniach, plajtach i pożarach – wcale niełatwo uwierzyć.

● W lutym na pokazujących oferty sprzedaży mieszkań portalach OLX i Otodom został pobity rekord. Domy i mieszkania wystawione na sprzedaż osiągnęły liczbę niemal 233 tys. sztuk. W ciągu roku ofert przybyło aż 65,2 tys., a tylko w jednym miesiącu – prawie 14 tys. Wydaje się

więc, że zaczyna pękać bańka mieszkaniowa nadmuchiwana przez pisowski program „kredyt 2 proc.” zasilaający w kasę banki i deweloperów. Niewsparte dopłatami z budżetu kredyty hipoteczne nie generują już niezdrowego popytu. Sprzedającym coraz trudniej przy obecnych cenach znaleźć nabywców. A ponieważ ceny nie rosną, to mnóstwo mieszkań kupionych tylko po to, żeby je sprzedać ze znacznym zyskiem, generuje właścicielom straty. I jeśli nikt nie wpadnie na pomysł transferu miliardów z budżetu do budownictwa i sektora finansowego, to spekulanci mieszkaniowi już wkrótce powinni się zacząć lokali pozbywać za niższe niż dziś ceny. Wtedy zaś może się okazać, że te polecą na pysk, bo zapanuje panika i każdy będzie chciał spekulacyjną nieruchomości sprzedać. Gdyby zaś do tego doszło to, o czym mówi lewica, czyli budowa mieszkań komunalnych na tani wynajem, to nawet banki musiałyby zejść z oprocentowaniem hipotek do wartości, przy których ktoś będzie chciał i mógł wziąć pożyczkę. Oczywiście gdyby wybudowano mnóstwo samorządowych czy państwowych czynszówek, spadłby również czynsze dla wynajmujących. Choć i tu rynek wygląda na coraz przyjaźniejszy zwykłym ludziom. Ofert najmu jest coraz więcej – dobiły do niemal 60 tys.

To zaś świadczy o tym, że na tym rynku chętnych do wydawania paru tysięcy złotych za kawalerkę zaczyna brakować i żeby znaleźć jelenia, właściciele lokali muszą zejść z ceny. A tym szybciej to robią, im szybciej państwo zdecyduje się w końcu na dotowanie budownictwa, a nie firm deweloperskich i banków.

● Gdyby jednak któryś z polityków jął mówić, że w Polsce brakuje miliona mieszkań, to trzeba go zabić śmiechem. Na koniec stycznia mieszkań w Polsce było już bowiem 15,99 mln. Osiągnęliśmy poziom 426 mieszkań na 1 tys. mieszkańców. W nasyceniu rynku mieszkaniowego wyprzedzamy Austrię – 420 mieszkań na 1 tys. mieszkańców, Nową Zelandię – 396, Irlandię – 408 oraz Słowację i Słowenię – po 423. A że w budowie – według GUS – było na koniec stycznia 836,6 tys. mieszkań, to wkrótce będzie ich już łącznie 16,82 mln, czyli 451 na 1 tys. mieszkańców. Więc lada moment wyprzedzimy Austrię – 447 mieszkań na 1 tys. mieszkańców, Kanadę – 440, i nawet Stany Zjednoczone, które mając 438 chałup na 1 tys. mieszkańców, będą musiały coś zrobić, żeby choć w tym parametrze być znów lepsze od Polski.

TTJ

To, że kobiety obaliły rząd PiS, to jeszcze nic – teraz obalają Kościół.

Cień kobiet

Dla polskiego Kościoła katolickiego od dziesięcioleci nic się nie zmienia. Zwłaszcza w postrzeganiu kobiet, których rola wciąż sprowadza się do trzech niemieckich „K”: Kościoła, kuchni i kinderów. Znaczący dzieci. Tymczasem kobiety zarówno tak zdefiniowaną rolę, jak i Kościół katolicki zaczynają mieć tam, gdzie Kościół ma niewiasty.

Kościół

Na świecie socjologom wychodzi z badań, że w ciągu ostatnich trzech pokoleń – pokolenia wyżu demograficznego, zwanego popularnie boomersami, pokolenia X i pokolenia milenial-sów – mężczyźni częściej niż kobiety porzucali religię. Jednak najmłodsze pokolenie Z – mające 18–29 lat – odwróciło ten schemat: 46 proc. osób, które porzuciły religię, stanowili mężczyźni, 54 – kobiety.

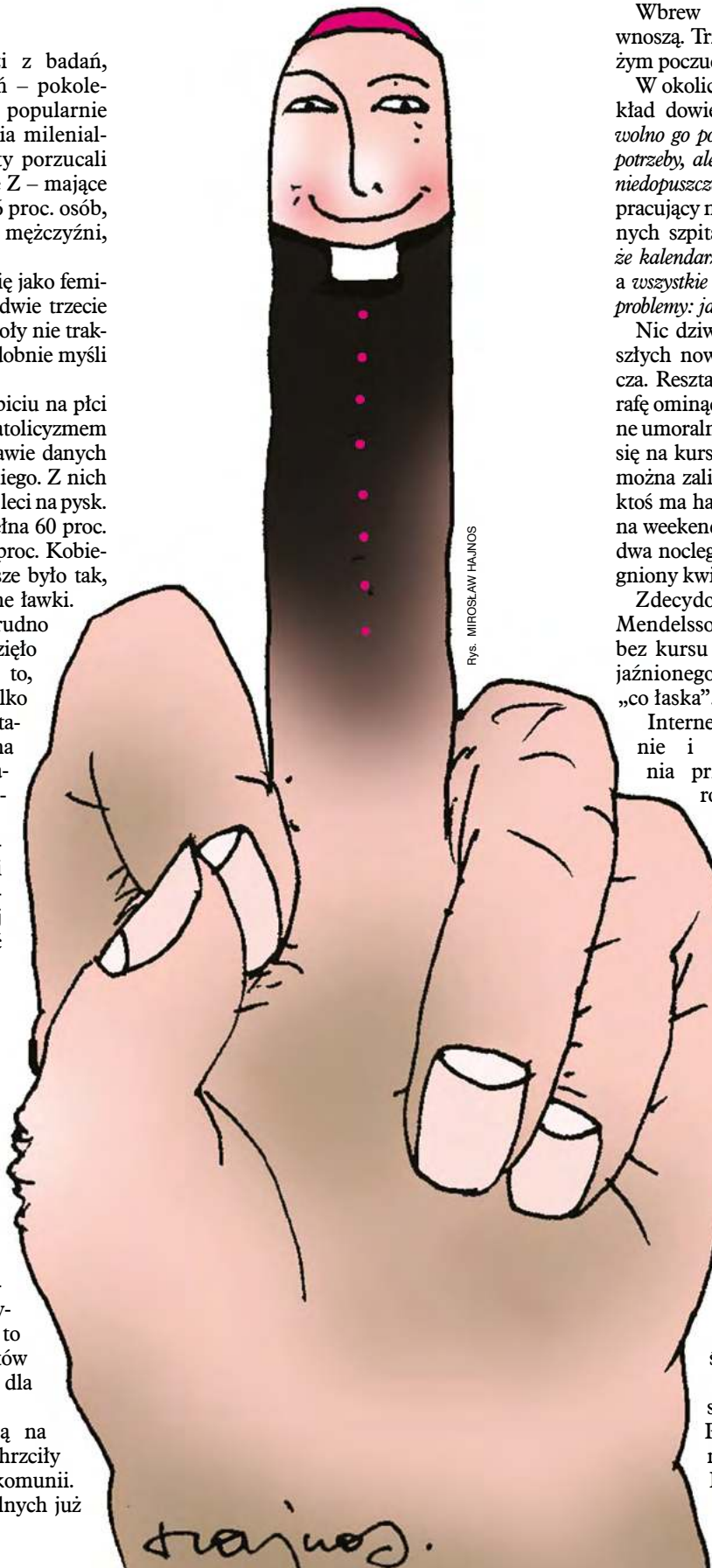
Młode kobiety częściej identyfikują się jako feministki. Jak wykazały badania, prawie dwie trzecie kobiet z pokolenia Z zauważa, że kościoły nie traktują jednakowo mężczyzn i kobiet. Podobnie myśli 64 proc. kobiet mających 30–49 lat.

U nas nikt badań religijności w rozbiciu na płci nie robi. Dlatego o relacjach kobiet z katolicyzmem można coś powiedzieć tylko na podstawie danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego. Z nich zaś wynika, że udział kobiet w mszach leci na pysk. W 2023 r. w kościołach było niespełna 60 proc. kobiet; dekadę wcześniej – niemal 70 proc. Kobiety żyją o ok. 10 lat dłużej – stąd zawsze było tak, że babcie okupowały masowo kościelne ławki. Skoro ich odsetek spada – a raczej trudno założyć, że polskich facetów nagle wzięło na łażenie do kościoła – znaczyłoby to, że z papizmem nie po drodze jest nie tylko kobietom przed trzydziestką. Z dreptaniem na nabożeństwa daje sobie siana coraz więcej emerytek, którym na starość Kościół przestaje być do czegośkolwiek niepotrzebny.

Jeśli ktoś sądzi, że to wszystko dlatego, że Kościół jest przeciwko aborcji i antykoncepcji, to nie ma racji. Katolicyzm był przeciwko nim co najmniej od 180 lat. Tyle że niegdyś większość kobiet była ledwo piśmienna. Dziś ponad połowa młodych Polek ma wyższe wykształcenie. A w badaniu CBOS sprzed paru lat wyszło, że największy odsetek identyfikujących się z Kościołem rzymskokatolickim jest wśród osób z wykształceniem podstawowym – 99 proc. W tym rolników i osób pracujących w prywatnych gospodarstwach rolnych – 100 proc. Prywatnych gospodarstw rolnych mamy coraz mniej. Dziś z roli żyje najwyżej co dziesiąta mieszkająca na wsi kobieta. A i ona ma już – statystycznie – co najmniej maturę. Wykształcenie kobiet i wybiecie się przez to na niezależność od rodziców i facetów spowodowało, że Kościół przestał być dla nich odniesieniem.

Starsze pokolenia wciąż wywierają na młode kobiety skuteczny nacisk, by chrzczyć dzieci i prowadzić je do pierwszej komunii. Z namawianiem do małżeństw kościelnych już im nie idzie.

Zresztą – choć wciąż chrzci się u nas ponad 90 proc. noworodków – z roku na rok i ten odsetek spada. Tak samo jest z komuniami, do których matki gonią coraz mniej dzieciaków. Mamusi coraz rzadziej korzystają też z Kościoła, by wydać się za mąż. W 2023 r. ślub kościelny wzięły 77 244 pary. Ba, już więcej niż co czwarta matka nie ma żadnego – nawet cywilnego – męża.



Kuchnia

Żeby zawrzeć związek kościelny, trzeba mieć kwity o ukończeniu kursu przedmałżeńskiego. Te zaś polegają na tym, że przymierzający się do ról głównych w spektaklu rodzinno-towarzyskim o nazwie ślub muszą biegać na organizowane przez proboszczów wykłady, w zamian za co dostają przepustkę do ołtarza.

Standardem są bezpłatne zajęcia odbywające się przez trzy miesiące. Co tydzień amatorzy żeniactwa i amatorki pomagają przez godzinę muszą wysłuchiwać pogadanek kościelnych fachowców od małżeństwa i rodziny. W większych miastach prelegentami bywają lekarze ginekolodzy, psycholodzy, małżeństwa z wieloletnim stażem. W mniejszych – panie z kółka parafialnego i ksiądz proboszcz.

Wbrew powszechnej opinii kursy takie wiele wnoszą. Trzeba jednak wykazać się tolerancją i dużym poczuciem humoru.

W okolicach Lublina można się na nich na przykład dowiedzieć, że jeśli ksiądz ma dziecko, *nie wolno go potępić, w końcu jest mężczyzną i ma swoje potrzeby, ale jeśli para żyje na tzw. kociaj łapie, to jest niedopuszczalne*. W Warszawie wykładowca – lekarz pracujący na co dzień w jednym ze znanych stołecznych szpitali położniczych – *udowadniał żarliwie, że kalendarzyk to super metoda i pigułka to samo zło, a wszystkie kobiety ją zażywające będą miały szalone problemy: jak nie rak, to bezpłodność*.

Nic dziwnego, że zdecydowana większość przyszłych nowożeńców ślub przed ołtarzem odpuszcza. Reszta szuka sposobu, jak tę przedmałżeńską rafę ominąć: trafnie uznając cotygodniowe parafialne umoralnianie za marnotrawstwo czasu, decyduje się na kursy weekendowe. Za 150–250 zł od lebaka można zaliczyć szkolenie w sobotę i niedzielę. Jak ktoś ma hajs i szczęście, to może nawet załapać się na weekend w klasztorze. Za 500 zł od pary ma się dwa noclegi, pełne wyżywienie i na dodatek upragniony kwit.

Zdecydowana większość miłośników marsza Mendelssohna załatwia zaświadczenia o kursie bez kursu – za kasę. Chyba że ktoś ma zaprzyjaźnionego księdza. Wtedy obywa się nawet bez „co łaska”.

Internet jest pełny namarów na panie i panów wystawiających zaświadczenia przedmałżeńskie. Ceny nie są wygórowane i nie przekraczają 300 zł. *Wszystko zgodne z prawem i z wpisem do Parafialnej Bazy Danych. Zapraszamy do kontaktu, również w niedzielę – stoi jak byk na Allegro*.

Są też oczywiście kursy on-line. Czasem bezpłatne, ale standardem jest 200 zł od osoby. Wolny rynek i Kościół wychodzą do kobiet z ofertą – ale połowa pań nie ma najmniejszego zamiaru z tego skorzystać.

Kinder

Polki nie rwą się też do tak sławionej przez polski Kościół roli matki. Miast po kościelnemu zachodzić i w „bólach rodzić”, obywatelki Najjaśniejszej wybierają inne rozwiązania. Zamiast, jak pan Bóg przykazał, mieć po kilkoro potomstwa, doszły w ubiegłym roku do tego, że wydają na świat przeciętnie po 1,12 noworodka.

W 1983 r., ostatnim roku PRL-owskiego wyżu demograficznego, 9 mln Polek w wieku rozrodczym urodziło ponad 723 tys. dzieci. W tym samym roku Polki wyskrobały z siebie ponad 250 tys. niechcianych zygot. W zeszłym roku na świat przyszło w Polsce 250 tys.

dzieci. Nie znaczy to jednak, że ponad 700 tys. zygot spłynęło do kanalizacji.

Od lat 90. – gdy zaczął obowiązywać zakaz aborcji – co roku rodziło się w Polsce ok. 360 tys. dzieci. Legalnych skrobanek odnotowuje się z reguły 600–700 rocznie. Dodając do tego fakt, że mamy dziś trochę ponad 8,5 mln Polek zdolnych do rozmnażania, należałoby wyciągnąć wniosek, że kobiety zostały lesbijkami i mniszkami albo...

Właśnie to „albo” jest odpowiedzią kobiet na restrykcyjne przepisy. Bo Polka – wbrew temu, co moglibyśmy sobie pomyśleć, patrząc na Beate Szydło i Krystynę Pawłowicz – seks uprawia. We wszystkich badaniach chwali się, że jak jest mężatką, seks się dwa razy w tygodniu, a jak jest singielką, to jeszcze częściej. Seks zaś czasem prowadzi do zajścia w ciążę. Jeśli dzieci z tych ciąży się nie rodzą, to znaczy, że ciążę zostały przerwane. Według demografów i ginekologów w Polsce usunięciu podlega co czwarta ciąża.

Polki wykonują ponad 80 tys. aborcji rocznie. Mogłoby być mniej, ale antykoncepcję stosujemy wciąż o 20 proc. rzadziej niż w krajach bardziej cywilizowanych.

Liczba 80 tys. aborcji nie oznacza, że tyle kobiet się wyskrobało w gabinetach. Mamy w końcu XXI w. i tabletki, dzięki którym niechciane zygoty trafiają do kanalizacji.

I jest jeszcze osławiona, droga, teoretycznie bezreceptowa tabletką „dzień po”. Średnio w miesiącu apteki sprzedają jej 10 tys. Zdaniem lekarzy, gdyby nie EllaOne, skrobanek byłoby o 15 tys. więcej.

Gdy jednak niewiasta się zagapi i nie dostaje miesięczki, to po ratunek udaje się do wyszukiwarki internetowej. Znajduje tam nazwy ogólnodostępnych środków na chorobę wrzodową żołądka lub tabletek na reumatyzm. Instrukcja zawiera sposób przyjmowania specyfiku i jego dawkowanie. Cztery tabletki jednorazowo pod język, aż do rozpuszczenia. I tak po trzykroć. Potem trochę bólu, jakieś krwawienie i ciąża z głowy.

Oczywiście o wiele taniej i bezpieczniej skorzystać z pomocy organizacji oferujących – za niespełna 100 euro – dostawę w ciągu paru dni do paczkomatu stuprocentowo pewnego medykamentu made in India. Zdaniem ginekologów farmakologicznym sposobem załatwia się ponad 85 proc. niechcianych ciąży.

Pigułki na wywołanie miesiączki mają jednak skuteczność 90 proc. Jeśli zatem nie uda im się odkleić zygoty od macicy, to niestety trzeba to zrobić w gabinecie.

Taka decyzja rodzi dwa problemy. Pierwszy natury finansowej. Drugi natury logistycznej. W kraju zabieg kosztuje nawet 6 tys. zł. Podobny szmalec zapłaci się za wizytę w klinice niemieckiej lub holenderskiej. O wiele lepiej skorzystać z usług Słowaków: 500 euro i po problemie. Nawet wliczając koszt paliwa i noclegu, jest się do przodu. Nadgraniczne kliniki uwalniają od ciąży 10–12 tys. Polek rocznie. 2–3 tys. niechcianych zygot pada ofiarą krajowych ginekologów.

Kobiety zaś uwalniają od siebie kościoły, bo nie chcą więcej słuchać, że albo grzeszą rozwiązłością, albo zabijaniem nienarodzonych. Czyli po prostu tym, że są kobietami.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ 75 proc. rezerw złota NBP przechowywane jest za granicą. Jednocześnie Narodowy Bank Polski poinformował o wielkości naszych rezerw, która wynosi ponad 448 ton złota. Złoto składowane jest głównie w USA i Zjednoczonym Królestwie, co ma uzasadnienie historyczne. Jak pamiętamy, jeden z poprzednich rządów, chcąc zabezpieczyć sobie dostatnie życie za złoto banku narodowego, podjął ryzyko. W warunkach wojennej inwazji potajemnie wywiózł je z kraju z narażeniem życia kolejarzy i marynarzy. Dzięki tej lekcji obecne rządy, udając się na emigrację, już nie będą miały tego problemu – złoto i dostatek będą na nie czekały u Anglosasów.

■ 4,6 mld zł – tyle wpadło do kiesy Grupy Orlen w 2024 r. Zys netto pięciokrotnie wyższy niż rok wcześniej. Imponujące? Owszem, dla akcjonariuszy, którzy zacierają ręce na rekordową dywidendę – 6 zł na akcję. 4,5 zł gwarancji plus 1,5 zł premii za dobre wyniki. Przy takiej rentowności obniża cenę paliwa o złotówkę na litrze wydaje się w zasięgu ręki. Wykonalne, wręcz namacalne. Tyle że... czym wtedy Orlen pochwaliliby się przed premierem? Ładniej przecież błyszczeć miliardami niż troszczyć się o drobne oszczędności Kowalskiego.

■ „Nowa strategia”, „ambitne cele” – tak Orlen nazywa ucieczkę z tonącego okrętu Polska Press. Prezes Ireneusz Fąfara (nowy Obajtek, jak go złośliwi nazywają) przyznaje bez ogródek: inwestycja nieudana, straty gigantyczne, zarówno finansowe, jak i wizerunkowe. Sieć regionalnych gazet i portali Polska Press zamiast wylewnie dziękować za kropłówkę od naftowego potentata, śmiała gryźć rękę, która ją karmi. A ręka, choć hojna, nie lubi być pogryziona. Katastrofa jest niemal gwa-

rantowana. Bez wsparcia naftowego giganta przyszłość regionalnych mediów rysuje się w ciemnych barwach.

■ Znana w Polsce hiszpańska marka fast fashion Zara oferuje w swojej sekcji Zara Home kamienie po 129 zł. Kamienie są jasnobezwowe, oplecione sznurkiem i – jak nietrudno zauważyć – wyglądają dokładnie tak jak jasnobezwowe kamienie oplecione sznurkiem. Według marketingowców Zary mają one służyć jako „blokada drzwi z kamienia”. Aby spełnić tę funkcję, każdy z tych kamieni musiał pokonać aż 14 tys. kilometrów, płynąc z Indonezji do Polski. To nie lada wyzwanie dla kamienia, którego mięśnie – jak wiadomo – nie są ze stali.

■ Skutkiem długotrwałego niszczenia polskiej gospodarki przez rządy PiS, a także ignorowania podstawowych zasad ekonomii, Polska utraciła pozycję największego dostawcy dużego sprzętu AGD w Unii Europejskiej, ustępując miejsca Chinom. Jak wskazują dane, import pralek i lodówek z Chin wzrósł aż o 32 proc. w roku 2024, podczas gdy eksport polskich

produktów zwiększył się jedynie o 3 proc. W 2023 r. zatrudnienie w polskim przemyśle AGD zmniejszyło się o około 1 tys. osób, a rok 2024 przyniósł kolejne cięcia skutkujące likwidacją 2 tys. miejsc pracy.

■ Pan Tomasz Zajac, edukator z Tatrzańskie-go Parku Narodowego, orzekł, że wiosną w Tatrach jeszcze nie ma. Krokusy kwitną, ale niedźwiedzie śpią, a wilki, choć powinny, jeszcze się nie rozmnażają. Ciekawa sprawa. A co z zającami? O nich pan Zajac jakoś zapomniał.

■ Minister obrony narodowej poinformował o planach resortu dotyczących dostosowania lotnictwa cywilnych do celów wojskowych. Władysław Kosiniak-Kamysz wyjaśniał, że każdy z 15 istniejących w kraju portów lotniczych powinien zostać przystosowany do współpracy z wojskiem. Celem tych działań jest poprawa bezpieczeństwa kraju. W dzisiejszych czasach nie potrzeba wywiadu ani szpiegów – Ministerstwo Obrony Narodowej na bieżąco informuje o swoich planach w telewizji, internecie i gazetach. Dzięki tym doniesieniom nasi

wrogowie dowiedzieli się, że dotychczas lotniska nie były przystosowane do lądowania myśliwców, ale wkrótce będą mogły przyjmować nawet bombowce.

■ Siedmiu kierowców, wieloletnich pracowników warszawskich prokuratur – tak, dobrze Państwo słyszysz: kierowców zatrudnionych w prokuraturze – zostało przyłapanych na kradzieży paliwa. I to nie jakiejś tam drobni-cy, ale całego pociągu cystern przez pięć lat! Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie Piotr Antoni Skiba, z trudem kryjąc zażenowanie, potwierdza te doniesienia. Kierowców naturalnie wyłano z pracy, a śledztwo powierzono prokuratorom spoza Warszawy, żeby zachować pozory bezstronności. Bravo! Mamy wreszcie jakiś sensowny argument za elektromobilnością.

■ Hiszpańska policja, na trop wprowadzona przez wrocławskich „łowców głów”, dopadła Rafała Z. pseudonim Kojot, wybitnego – można rzec: renesansowego – polskiego gangstera. Po 22 latach swobodnego harcowania

Michał pracował jako bramkarz w rzeszowskich klubach. Miał 28 lat, zadbaną brodę i potężną posturę, którą ubogacał odżywkami i wizytowaniem siłowni. Odżywiał się tak zdrowo, że nawet nie pił alkoholu. Poza tym był najspokojniejszym gościem na świecie. I chciał być policjantem.

Michał miał też pannę. Gabrysia, drobna 27-latką, wynajmowała mieszkanie, na które zarabiała, pracując w banku. Jej relacje z Michałem układały się standardowo, ale na tyle spokojnie, że nikt nigdy nie słyszał, żeby się kłócili. Kiedyś nawet ze sobą zerwali, bo Michał przeginał z zazdrością, po czym znowu byli razem. Kilka tygodni temu w sobotę mieli wyskoczyć wieczorem do znajomych. Nie wyskoczyli. Rano, nie mogąc się dodzwonić do syna, w mieszkaniu Gabrysi pojawił się ojciec Michała i znalazł dwa ciała.

Brak osób trzecich

Bo – jak ujęła to prokuratura – 28-latek dokonał zabójstwa 27-letniej dziewczyny przy użyciu narzędzia ostrorazowego, najprawdopodobniej noża, który został zabezpieczony na miejscu zdarzenia, zadając kobiecie co najmniej kilkanaście ciosów po całym ciele. Następnie mężczyzna popełnił samobójstwo, używając tego samego noża. Na miejscu nie ujawniono śladów świadczących o tym, aby w zdarzeniu brały udział osoby trzecie. I dlatego czynności śledcze można było zakończyć w ciągu kilku godzin, a policja i prokurator mieli czas na coś zupełnie innego.

W Krakowie przy ul. św. Wawrzyńca wynajmowała mieszkanie 24-letnia studentka z Kanady. Na początku grudnia nawiedził ją gnany przez Atlantyk tęsknotą chłopak, Kanadyjczyk skądinąd. Jak to się stało, że któregoś dnia ok. godz. 23.00 policja dostała wezwanie do interwencji w mieszkaniu dziewczyny, pewnie nigdy nikt się nie dowie. Funkcjonariuszy wezwała mieszkanka kamienicy, informując o odgłosach awantury u znajomej mieszkającej obok. A że drzwi do mieszkania były zamknięte, policja wezwała straż pożarną, która dzielnie sforowała zaporę. W chałupie gliniarze natknęli się na 23-letniego Kanadyjczyka, który tuż przed pojawieniem się służb usiłował odebrać sobie życie, oraz mocno krwawiącą pannę z mnóstwem ran od noża. Kobieta pojechała do szpitala, a chłopak, któremu właściwie nic nie było, trafił na dółek.

Około godz. 2.00 szpital poinformował gliniarzy, że dziewczyna zmarła. Policja podjęła decyzję, że jej zabójcę przesłuchają ok. godz. 6.00. Gdy do tego doszło, wydarzyło się coś, czego szczegółów też pewnie nikt nie pozna, chyba że któryś z gliniarzy pęknie. Otóż mimo kajdanek na rękach Kanadyjczyk w trakcie przesłuchania odebrał broń policjantowi, po czym zabarykadował się w pomieszczeniu, a chwilę później się zastrzelił. Tym razem śmiertelnie. Dzięki temu państwo polskie oszczędziło na całej procedurze związanej z postępowaniem prokuratorskim i sądowym – i to w dodatku w obecności wyposażonego w odpowiednie kwity tłumacza.

W niedzielę 16 lutego tuż po północy w Rembertowie rozległy się krzyki i huk wystrzałów, a potem zaroilo się od błyskających na niebiesko świateł.

Zabójstwo propanstwowe

Rodzi się Polska, w której policjanci zamiast ścigać morderców, będą przeprowadzać staruszki przez ulicę?

A wszystko dlatego, że 33-letni facet, o którym sąsiedzi mówili, że z racji posiadania sportowego mustanga na pewno jest gangusem, dwukrotnie postrzelił swoją pannę w mieszkaniu, które wynajmowali od miesiąca. Kobiecie, z dziurami w brzuchu i głowie, udało się uciec przez balkon, gdzie doczekała się pogotowia i policji. Ratownicy mogli więc później opowiadać mediom, że zastali leżącą przed budynkiem na śniegu kobietę w wieku 27 lat z dwiema ranami wyłotowymi: w okolicy mostka na wysokości prawej piersi i w okolicy połytycy. Kobieta była przytomna, w logicznym kontakcie słownym. Całkiem inaczej miał się jej partner, do którego dotarli policjanci, a tuż po nich ratownicy. A właściwie jego zwłoki, siedzące w pozycji kolanekowej z bronią czarnopochową w ręku. Na nieżywość mężczyzny wskazywała też wielka rana postrzałowa głowy. Policjanci i prokurator się ucieszyli, bo zamiast wielogodzinnych przesłuchań mnóstwa świadków i podejrzanego, sprawę można było zamknąć niemal od ręki.

Krewni i znajomi

30 grudnia straż w Jaworze dostała informację o pożarze gospodarczego w Skale. W czasie akcji gaśniczej strażacy natknęli się przed budynkiem na 69-letniego mężczyznę skrepowanego linką i przywiązanego do krzesła ogrodowego. W klatce piersiowej miał kilka dziur po kulach. W budynku były zaś skrepowane zwłoki 51-letniego mężczyzny, też z dziurami w klatce, ale i z ranami tłuczonymi głową.

Nic dziwnego, że strażacy wezwali policję i pogotowie. Policjanci przyjechali i natknęli się na kolejne zwłoki. Tym razem 39-letniego jęmościa z rozwaloną pociskiem głową i rewolwerem czarnopochowym w ręce.

Ponieważ ranny facet był wujkiem samobójcy, a zabity jego sąsiadem, nieznanymi pozostał niestety motyw działania 39-latka. Dlatego prokurator musiał wszcząć śledztwo w sprawie dokonania i usiłowania zabójstwa oraz

EWIDENTNE SAMOBÓJSTWO



sprowadzenia pożaru. Na szczęście z powodu zgonu sprawcy sprawa do sądu nie trafi, więc państwo polskie na kolejne koszty pieniędzy nie wyłoży. Dokładnie tak samo jak po incydencie w Namysłowie. Atmosfery rodzinnego spotkania nie wytrzymał tam 32-letni facet, który w pewnym momencie wyciągnął broń i zaczął strzelać do swojego ojca i brata. Potem w innym pokoju kazał partnerce brata skrepować dwójkę dzieci i uwięził towarzystwo na parę godzin. Kobiecie udało się uciec i ściągnąć policję.

Pod budynkiem zaroilo się od antyterrorystów, negocjatorów i kogo tylko policja miała pod ręką. Wielogodzinne negocjacje nic nie dały, podjęto więc decyzję o siłowym wejściu do budynku. Wtedy padł strzał. Dzieciom nic się nie stało, bo 32-latek strzelił sobie

w głowę. Ale ponieważ wcześniej zabił ojca, brata i matkę, to prokurator przed zamknięciem sprawy musiał marnować czas na przesłuchanie pozostałych przy życiu członków rodziny. Dziewczynkom w wieku siedmiu i pięciu lat oraz ich matce trzeba było zapewnić pomoc psychologiczną.

Niestety, propanstwowa postawa nie była dominującą cechą 39-letniego pana, charakteryzującego się przede wszystkim posiadaniem Mercedesa i konta, na którym miał zakończony niedawno wyrok więzienia. Przed odśiadką miał również partnerkę. Po wyjściu już jej nie miał, bo 39-latką związała się w międzyczasie z 49-letnim posiadaczem Toyoty.

Facetowi było to na tyle nie w smak, że zaszadził się Mercedese i czekał, aż w Toyocie znajdzie się jego była i jej nowy facet, a nawet dwójka dzieci – ośmioletni chłopiec oraz 12-letnia dziewczynka. Ruszył za nimi i wałnął Toyotę w kufer. Na skutek walnięcia Toyota wypadła do rowu i dachowała, po czym zatrzymała się na drzewie. Porzucony amant zaczął strzelać w rozbite auto, z którego wydostali się wszyscy pasażerowie. Następnie dogonił kochania byłej i zastrzelił go z bliska. Po czym odjechał. Kobiecie i dzieciom nic się nie stało. Zawiadomiła więc policję, która, wiedząc, z kim ma do czynienia, wezwała posiłki i namierzyła agresora w jego mieszkaniu. Faceta jednak nie ujęli, bo w międzyczasie się zastrzelił. Gdyby to zrobił wcześniej, policja nie musiałaby wykosztowywać się na wsparcie.

Był sobie mąż i żona

Na niepotrzebne koszty naraził państwo człowiek, który po przepracowaniu 30 lat w policji winien wiedzieć, ile kosztuje praca dziesiątków funkcjonariuszy robiących na kogoś obławę.

53-letniemu Bogdanowi z Siedlec od skończenia policyjnej roboty w 2021 r.

nic się w życiu nie kleiło – i to na tyle, że żona wniosła o rozwód. Więc kiedy 5 grudnia przed świtem byli koledzy Bogdana dostali zgłoszenie o rannej kobiecie leżącej na posesji zamieszkiwanej przez eksgliniarza, nie byli szczególnie zaskoczeni. Gdy zaś zobaczyli jej 12 ran postrzałowych, wiedzieli, czyja to robota, i że pana Bogdana właśnie. A ponieważ eksgliniarza gdzieś wciągnęło, a na dodatek na miejscu pojawiły się media, policja ściągnęła posiłki i zaczęła obławę.

Na szczęście krótką. Po paru godzinach kilka kilometrów dalej, w zagajniku pod Osinami Górnymi, znaleziono wrak spalonego samochodu, a w nim również spalone zwłoki mężczyzny. Z raną postrzałową głowę. Na biurko prokuratora trafiło kilka analiz i ekspertyz. Sprawę można było odfajkować, a kwity złożyć w archiwum. I gdyby nie konieczność absorbowania mnóstwa ludzi do poszukiwań, to casus pana Bogdana budżetowi polskiego wymiaru sprawiedliwości uszczerbku by nie przyniósł.

Pani Ewa liczyła sobie 68 wiosen i była chora, a jej stan się pogarszał. Kobieta była też w coraz gorszym stanie psychicznym, który odbijał się na jej 70-letnim mężu. Emerytka pękła po tym, jak – ze względu na stan zdrowia – sąd odebrał jej wnuczkę, którą się przez kilka lat zajmowała. A zajmowała się, bo tatą dziewczynki właśnie siedział.

Pod koniec stycznia do ich mieszkania w Lesznie zapukał drugi z synów, a gdy nie otworzyli, skorzystał z kluczy i wszedł. W mieszkaniu znalazł rodziców w stanie wskazującym na to, że nie żyją. Potwierdziły to pogotowie i policja. Szybko okazało się, że starszy pan ulitował się nad cierpiącą żoną i definitywnie rozwiązał jej problemy. Potem zaś, zabijając siebie, uwolnił państwo polskie od konieczności prowadzenia przeciwko niemu postępowania, sądenia go i goszczenia w zakładzie penitencjarnym.

Wszystkie opisane tu przypadki wydarzyły się w ostatnich pięciu miesiącach. Policja nie przypomina sobie takiego wysypu zabójstw zwińczonych wymiarem sobie przez sprawców najwyższego wymiaru kary.

Gliniarze żartują nawet, że gdyby tak postępowała większość osób mordujących swoich najbliższych, to nie mieliby roboty, w więzieniach zaś, gdzie siedzi dziś kilka tysięcy morderców, znalazłoby się miejsce dla klienteli lżejszego kalibru.

W Polsce od kilku lat średnio dochodzi do 500 zabójstw rocznie. Najwięcej jest tzw. zabójstw emocjonalnych; stanowią one ok. 70 proc. wszystkich przypadków. Bardzo dużą część z nich stanowią zabójstwa partnerskie. Znacznie rzadziej zabójstwa dokonuje kobieta; tylko w 11–13 proc. przypadków. Jednak sytuacji, gdy taka zabójczyni popełnia potem samobójstwo, nie pamiętają nawet najstarsi policjanci.

TOMASZ BOROWIECKI

„Kojot” wpadł w sidła prawa. Złodziej, alfonso, diler, piroman... a nawet, jak głoszą plotki, zabójca – życiorys „Kojota” był kopalnią inspiracji dla reżyserów, literatów i scenarzystów. Polskie filmy gangsterskie, powieści kryminalne, seriale ostatniej dekady karmiły się legendą „Kojota”. I oto policja zadala cios polskiej kulturze. Dramat narodowy.

■ Zbigniew Maj wracał z egzotycznej Sri Lanki, a tu znow – na Okęciu czekała na niego delegacja CBA. Zamiast girlandy kwiatów kajdanki. Pan Maj podejrzany jest o kanty gospodarcze, zdradę tajemnicy służbowej, robenie świństw szkodzących ogółowi oraz namawianie do nadużywania władzy. Aha, pan Zbigniew to były komendant główny policji (grudzień 2015–luty 2016).

■ Urząd województwa kujawsko-pomorskiego postanowił zaszaleć. Wojewoda będzie jeździł nowym vanem za, bagatela, 526 tys. zł w ciągu czterech lat. Roczny koszt wynajmu auta to ponad 131 tys. zł – tyle co dobre mieszkanie. A cóż to za cudo dostanie pan

wojewoda? Specyfikacja jest imponująca: 230 KM pod maską, fotele z aktywną wentylacją (żeby mu się siedziało wygodnie), sportowe pedały (żeby mógł szybko uciekać przed niecierpliwymi petentami), touchpad, lodówka, wi-fi, drewniane wykończenia i 10-calowy telewizor. W specyfikacji przetargu nie ujęto tylko szofera, który będzie mu podawał szampana w trakcie jazdy.

■ 31-letni osilek napędzany procentami urzędził rozróbę na SOR-ze w Legnicy. Bilans walk: dziewięć osób poszkodowanych. Pielegniarki i ratownicy. Głównie rany tłuczone i szarpane. Dyrektor szpitala z dramatyzmem godnym Hamleta grzmi, że to cios w cały system ochrony zdrowia, wszystkich lekarzy i pacjentów. No tak, jeden pijany awanturnik jest w stanie zatrzeć posadami opieki zdrowotnej. Całe szczęście, że premier Tuski wprowadził już specjalne szkolenia dla ratowników i lekarzy z zapasów i samoobrony.

■ Szczęśliwiec z Łomży, który trafił milion w totolotka, dostał w gratisie porwanie i ty-

dzień „wczasów” w ciemnej celi. W pakiecie: bicie, kopanie, unieruchomienie jak w SPA i ekskluzywna deprywacja snu. Na koniec hojnie podzielił się 200 tys. zł z kidnaperami. Trzech już siedzi, kolejnych trzech wciąż bawi się w chowanego z policją.

■ Polscy inżynierowie z Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytutu Lotnictwa ogłosili przełom: ich silnik rakietowy o zawrotnym ciągu 5 kN może znaleźć zastosowanie w ładownikach księżycowych. Twórcy są zachwyчени – według nich to idealne rozwiązanie dla rakiet i platform orbitalnych. Dodatkowo używa ekologicznego paliwa: nadtlenu wodoru i etanolu. Fantastycznie! Ludzkość dotarła na Księżyc 55 lat i siedem miesięcy temu, ale czemu by nie polecieć tam jeszcze raz? Może coś się tam przez ten okres zmieniło.

RJ

PS Wieści, choć godne uwagi, należy traktować z ostrą powagą. Unikajcie pochopnych wniosków, szczególnie tych natury prawno-procesowej. Pamiętajcie, że prawda bywa lokalna, a sprawiedliwość ślepa tylko teoretycznie.

Och, Karol!

Jak nie pisać biografii Marksa

Patrząc na swoją kolekcję 40 z górą tomów „Dzieł” Karola Marksa i Fryderyka Engelsa (polecam jego biografię Tristama Hunta sprzed lat, „Fryderyk Engels. Komunista we fraku”), prawie 100 stron moich notatek z samego pierwszego tomu „Kapitału”, tysiące przeczytanych stron jego dzieł, wciąż się zastanawiam: czy wszyscy, którzy piszą o życiu i dziele Marksa, muszą być tak tak przewidywalnymi ciulmanami jak polski episkopat?

Ta refleksja dopadła mnie, kiedy od dechy do dechy przeczytałam właśnie wydaną książkę „Idol. Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa”, napisaną przez Krzysztofa Iszkowskiego.

Dwójka z Schaffa

W zasadzie powinienem jebnąć w kąt książkę po przejrzeniu chudej – niczym moja akademicka wypłata – bibliografii. W książce o Marksie znajduję się 2 (słownie: dwie!) pozycje opisywanej postaci, z czego jedną jest dostępna w sieci wersja króciutkiego „Manifestu komunistycznego”. Zadnego z tomów „Kapitału”, „Osiemnastego brumaire’a Ludwika Bonaparte” czy „Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych z 1844 r.” w nim nie znajdziemy. Nie ma nawet wydanych po polsku biografii Karola M. autorstwa liberała Isaiaha Berlina ani też Francis’a Wheena (jest wersja angielska pozycji tego autora, która omawia sam „Kapitał”). Za grubszy skandal uznaję brak książki Erica Hobsbawma „Jak zmienić świat. Marks i marksizm 1840–2011”, że o „Dlaczego Marks miał rację” Terry’ego Eagletona nie wspomnę.

Zabawne jest, że Iszkowski sądzi, że odkrywa niejako Amerykę, pisząc o łobuzerskiej młodości Karola czy też w ogóle o ciemnych stronach jego charakteru – np. kłótniach z matką o pieniądze w młodości czy zaniedbywaniu żony i dzieci. Tymczasem już jeden z najwybitniejszych XX-wiecznych marksistów polskich Adam Schaff nieustannie podkreślał, że Marks jako człowiek był potworem. Co prawda poważni marksolodzy i jego biografowie przedstawiają nieco bardziej zniuansowany obraz tej postaci, ale to są rozważania – jeśli chodzi o znajomość rzeczy i głębokość myśli – na poziomie Rowu Mariańskiego. U Iszkowskiego mamy do czynienia z sadzawką, ulokowaną gdzieś niedaleko ul. Czerskiej w Warszawie, siedziby wydawcy „Idola” – Agory.

W obliczu takiej masy książek Marksa i o Marksie – których, jak mogę się domyślać, Iszkowski nie zna – książkę uratowałby dobry pomysł. Taki wbijający w fotel, przewrotny, by nie powiedzieć: dialektyczny. Tego autorowi wyraźnie zabrakło, co mi przypomina skecz z Benny Hilla, kiedy dwóch mężczyzn się kłóciło i poprosiło o rozsądzenie swojego sporu pastora. Duchowny wysłuchał pierwszego i przyznał mu rację. Potem wysłuchał drugiego i też przyznał mu rację. Gdy pierwszy zaprotestował, że obaj nie mogą mieć racji – pastor przyznał mu rację. Bo styl i przesłanie „Idola” to próba połączenia ognia i wody, a cała para, która w wyniku tego powstaje, idzie w gwizdek...

Dopóki Iszkowski pisze o faktach z życia – nieraz nader niewygodnych dla bałwochwalczych wielbicieli Marksa – „Idol” jakoś tam się broni, raz lepiej, raz gorzej. Kiedy jednak przychodzi do spraw idei, procesów historycznych, tok rozumowania przypomina spacer pijanego dziecka we mgle. Autor biografii zarzuca np. Marksowi, iż personifikuje burżuazję, przypisując „celowość spontanicznym zjawiskom społecznym”, więc nie ma dowodów, aby „mieszkaństwo celowo dążyło” do uwolnienia się wytwórczych. Może Iszkowski doszedł w słowniku do „m” jak Marks, ale już nie do „m” jak metafora...

Nierozwiązana zagadka

Problemem autora „Idola” jest gruntowny brak choćby zaliczenia podstawówki z dialektyki, czyli patrzenia na rzeczy w sposób dynamiczny, skupiając się raczej na procesach niż zjawiskach, szukając sprzeczności, walk przeciwstawnych sił społecznych. Iszkowski tkwi mentalnie w pozytywizmie i neopozytywizmie i dla niego „naukowe” jest tylko to, co się da empirycznie potwierdzić lub obalić. No to mam dla niego propozycję –

Marks mówił, że w nieskrępowanym kapitalizmie biedni biednieją, bogaci bogacą się, a przepaść między nimi się pogłębia. Niech Iszkowski poda jeden choćby przykład kraju, w którym działa się inaczej,

nie wspominając o analizie na poziomie globalnym, która musi to wykazać!

Rzecz nie w tym, że Iszkowski Marks dość słabo rozumie – a chwilami wychodzi jego wręcz szokująca ignorancja – lecz w tym, że przedstawia się jako znawca jego „życia doczesnego i pośmiertnego”. Ja nie nadaję się na primabalerinę, lecz nie aspiruję na etat w balecie Bolszoj. Nie widzę sensu w odbrazawianiu postaci, która od dekad w Polsce i na świecie jest obrzucana błotem.

Może i Marks był kanalią, ale w niczym nie zmniejsza to siły jego myśli, wciąż uparcie powracającej a to w Stanach Zjednoczonych, a to w Japonii, a to w Brazylii czy Indiach. Skąd taka jej żywotność, gdzie tkwi siła czasem prostych, czasem zawitych i wysoce subtelnych słów z połowy XIX w.? Tego z „Idola” nie sposób się dowiedzieć.

Bo konstatacje typu, że *Marks nie tylko stał się patronem wielkiego i destrukcyjnego ruchu politycznego, lecz także że uniknął za to odpowiedzialności*, wzbudzają pusty śmiech. Podobnie jak bajania o wieczności procesu akumulacji bogactwa i jego rzekomej naturalności i oczywistości. Jeśli kapitalizm jest naturalny, to chętnie zapraszam wszystkich biologów do ukazania choć jednego gatunku zwierzęcia, w którym dwóch jego przedstawicieli (wymieńmy Elona Muska i Jeffa Bezosa) ma więcej zasobów niż miliard innych przedstawicieli i przedstawicieli tego gatunku?

Kuriozum samym w sobie jest epilog opowiadający o zdjęciu małej Kamali z ojcem, Donaldem J. Harrisem, który jest – cytuję – *postkeynesowskim i marksowskim ekonomistą*. Republikańscy zaraz stwierdzili, że oznacza to, iż Kamala chce zaprowadzić w USA komunizm, a w jej przemówieniach wyborczych zaczęto bezzasadnie znajdować cytaty z „Kapitału”. Co z tego wynika, wyjaśniają ostatnie dwa zdania książki: *Nie był to bynajmniej czynnik, który przysporzył jej poparcia. Gdy policzono głosy i przeanalizowano dane z badań exit poll, okazało się, że po raz pierwszy od 60 lat najbardziej amerykańscy wyborcy zagłosowali w większości na republikańców*.

Już nawet nie chce mi się prostować, że przymiotnik „marksowski” (*Marxian*) nie musi oznaczać inspiracji Marksem, lecz generalnie używa się go w odniesieniu do samego Marksa, że o różnicy między znawcami jego życia i twórczości (marksologami) a podążającymi za jego ideami (marksistami) nawet nie wspomnę...

Kłęska Partii Demokratycznej wynikała z lat rządów, które służyły wyłącznie bogatym, i zupełnego porzucenia biednych i robotników. Wiązanie jej z jakimś zupełnie nieistotnym wątkiem kampanii republikańców wprawia wręcz w osłupienie i jest słabym chwytem retorycznym. Ciekawe, że sam Trump to postać żywcem wyjęta z „Osiemnastego brumaire’a”: twarz kliki miliarderów, która chce przejąć jeszcze więcej bogactwa. Ale to już zupełnie inna historia...

KAT

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

O lewicowy populizm

Poczytajcie Śpiewaka. Warto.

Jan Śpiewak jest socjologiem, politykiem, a przede wszystkim działaczem społecznym i osobą życia publicznego. Większość PT. Czytelników kojarzyć go może z walki ze skutkami tzw. afery reprivatyzacyjnej, czyli masowej kradzieży kamienic, głównie w stolicy. Śpiewak nagłaśniał związane z tym przekręty, jeszcze zanim sprawą zajęły się ogólnopolskie media i krajowi politycy. Narażając się wpływowym grupom – szczególnie ze środowiska prawniczego – które w cały ten proceder były zamieszane. Nic dziwnego więc, że Śpiewak chyba nadal dzierży tytuł jedyne go skazanego w tej afery – za rzekome pomówienia.

Śpiewak jednak nie siedzi w pierdlu, bo ulaskawił go prezydent Duda. Z miejsca stał się więc bohaterem (dla pisowców) i najgorszym wrogiem (dla antypisowców). I ja myślałem wówczas, że chłop przepadł, zżarł go nasz duopol, a wrogość jednej ze stron wywoła w nim taki resentyment, że zaraz zapisze się do PiS-u. To już lepiej, gdyby pierdziął w pasiak... Śpiewak na szczęście nie zwariował i zajął się tym, co lubi najbardziej, a ja nazwałbym krucjatami w słusznej sprawie. Za pomocą mediów społecznościowych chłoscze polską rzeczywistość, wywalając na wierzch korupcję, systemowe zaniedbania, bezkarność elit, nędzę moralną polityków niezależnie od barw. Książka to sprawozdanie z tych walk. I dynamicznie, dobrze napisana analiza Rzeczypospolitej Anno Domini 2025.

Polski, w której politycy pozwalają patodeweloperom na chów klatkowy, a żeby w ogóle gdzieś mieszkać, trzeba posiadać zdolność kredytową (i spłacać najdroższe kredyty w Unii Europejskiej). Kraju, w którym stosunki pracy i płacy przypominają szlachecki folwark. Państwie, które udaje, że jest europejskie, a do specjalisty czeka się latami. W którym na prowincji nie istnieje transport publiczny. Ale za to w którym można kupić gorzałę na każdym rogu.

Autor swoim opowieściom o Polsce nadaje populistyczne w dobrym znaczeniu – a więc proste i śmiałe – ramy pojęciowe.

Wrogiem jest znany nam kapitalizm pod postacią neoliberalizmu, chcący nas zjeść, przeżuć i – excusez-moi – wysrać.

Wierzę, że kończy się świat egoizmu, a zaczyna świat empatii i współpracy. Historia pokazuje, że na początku każdej fundamentalnej zmiany nie potrzeba wielu ludzi. Wystarczy „mała grupa myślących i oddanych sprawie obywateli”. Mam nadzieję, że będziesz wśród nich również Ty – pisze Śpiewak. Optymista?

DAMIAN DUSZCZENKO

Jan Śpiewak, „Patopaństwo. O tym, jak elity pustoszą nasz kraj”, Wydawnictwo W.A.B., 2025



Prof. Roman Kuźniar:
Czego chce Ameryka Trumpa?

Kim pan jest, panie Brzoska?

PiS – donosili i będą donosić

Piławski, Politt:
Niemcy po wyborach

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

REKORDOWE ZYSKI BANKÓW

KLIENT PŁACI ZA WSZYSTKO

Magiczna liczba 147

Podlizywać się szefostwu trzeba fachowo. Spróbuję.

Dość powszechnie wiadomo, że redaktor naczelna naszego dziennika cotygodniowego Agnieszka Wołk-Łaniewska jest fanką snookera. Nie tylko lubi patrzeć, jak faceci, a zwłaszcza mistrz Ronnie O'Sullivan, wbijają kolorowe bile do kieszeni, ale sama łapie za kij i staje przy pokrytym zielonym suknem stole. Jak mi powiedziała, zapal jej nie minął, choć angielski snookerzysta, siedmiokrotny mistrz świata i Oficer Orderu Imperium Brytyjskiego, rzadziej już przystępuje do zawodów. Prawdę mówiąc, bierze w nich udział tylko wówczas, gdy mu się chce, a pula nagród jest wystarczająco atrakcyjna. O'Sullivan zafascynował naszą naczelną i właśnie jego gra – a także nietuzinkowa osobowość – zachęciły ją do snookera. Nie tylko zresztą ją. Także prawie każdego, kto zaczyna uprawiać ten sport.

Młodzi zdolni, straszni starzy

W tym miejscu pisałem o różnych dyscyplinach sportu. Może najmniej o lekkooatletyce, bo na niej się kompletnie nie znam, i o koszykówce, bo ten sport jakoś mnie nie porywa. Snookera czasem oglądam na kanale Eurosport, choć do śledzenia transmisji trzeba mieć trochę cierpliwości. Czas trwania seta, zwanego tam *frame*, jest praktycznie nieograniczony i jeśli zawodnicy chodzą wolno wokół stołu i długo przywierają się do uderzenia, wszystko diabelnie się dłuży. Zawsze jednak można wstać z fotela, zrobić sobie herbatę zerkając tylko na ekran, żaden ważny moment nie powinien Wam uciec.

Agnieszkę Wołk-Łaniewską przekonał do snookera Ronnie O'Sullivan. Podobnie było z młodzieńcem Polakiem Michałem Szubarczykiem, o którym się mówi, że ma szansę znaleźć się kiedyś w ekskluzywnej czołówce graczy. Wolałbym jednak nie wyglądać ochów i achów ani nie twierdzić, że o Szubarczyku mówi cały sportowy świat; tak będzie lepiej i dla niego, i dla kibiców. Zbyt wielu widziałem w moim długim życiu utalentowanych sportowców w wieku przedszkolnym określanych mianem przyszłych mistrzów świata, których kariera nigdy naprawdę się nie rozwinęła, żeby mógł z czystym sumieniem powtarzać takie sformułowania.

Oglądałem w TVP Sport obszerny wywiad z Michałem i jego rodzicami. Chłopak – nawiasem mówiąc, uroczy, pięknie się uśmiechający – i jego ojciec, a zarazem trener, są pełni optymizmu. Tylko mama ma do sportowej pasji synka spokojniejsze podejście. Oczywiście mu kibicuje, oczywiście dokłada się do budżetu, który jest niemały, jeśli chce się trenować na wysokim poziomie, i cieszy się, że Michał dzięki snookerowi już teraz miał szansę zwiedzić kawał świata. Nie wyczułem jednak, żeby najważniejszym celem jej życia było doprowadzenie synka do poziomu Rooneygo O'Sullivana, albo nawet wyższego. To dobrze rokuje. Niektórzy rodzice utalentowanych sportowo dzieci dostają szajby na punkcie swoich pociech, podejmują wszystkie decyzje za nie, przymuszają do treningów, a podczas zawodów wyklócają się z sędziami, potrafią nawet obrażać rywali. Takie postępowanie rzadko wróży udaną karierę. Prędzej wychowa się rozgoryczzonego na cały świat młodego człowieka.

Czy bujam? Zapytajcie szkoleniowców i działaczy. Potwierdzą moje słowa. W piłce nożnej zjawisko to jest tak powszechne, że doczekało się nawet nieoficjalnej nazwy: klub szalonych rodziców.

Snooker to nie bilard

Michał Szubarczyk jako 12-latek wbił podczas treningu swojego pierwszego maksymalnego breaka. Nie wiecie, co to jest maksymalny break? Mam radę – napiszcie do Agnieszki Wołk-Łaniewskiej. Jeśli będzie miała czas i ochotę, wyjaśni Wam, że za jednym podejściem do stołu trzeba uzyskać 147 pkt., czyli po każdej czerwonej bili wbić do kieszeni czarną, a następnie wycisnąć stół ze wszystkich kolorowych. Przy okazji zapytajcie moją naczelną, czy udało się jej kiedyś uzyskać maksymalnego breaka. Obawiam się, że nie, choć ona gra na dużo wyższym poziomie od Was i dobrze wie, że w tej grze nie chodzi tylko o precyzyjne wbijanie przy pomocy białej bili kolorowych do kieszeni, ale zawsze też o kontrolę białej bili, tak aby mieć możliwość dalszej gry. Przewidywać trzeba – jak w szachach – kilka ruchów do przodu.

Jeśli nie ma się możliwości dalszej gry – jedynym ratunkiem jest odstawna. Należy tak uderzyć białą bilę, aby przeciwnik miał utrudniony dostęp do dalszej gry. Najlepiej, jeśli biała schowa się za inne kolorowe, co nazywane jest snookerem i od czego nazwę wzięła cała gra.

Wracamy do Michała Szubarczyka. Jako 13-latek został mistrzem świata w kategorii U-21, czyli wygrywać musiał z o wiele starszymi rywalami. Wówczas rzeczywiście zrobiło się o nim głośno, może nie na całym świecie, ale w środowisku snookerowym i po cichu zaczęto mówić o następcy Ronniego O'Sullivana. Mam nadzieję, że zarówno chłopiec, jak i jego ojciec-trener nie zapominają o tym, że droga na prawdziwe wyżyny jest stroma, kręta i łatwo z niej spaść. Snooker to nie jest – jeśli wolno tak powiedzieć – polski sport. Wśród najlepszych są głównie Anglosasi (wyjątek stanowi belgijski mistrz świata z 2023 r. Luca Brecel), ostatnio do czołówki wdzierają się Azjaci. Czołowi zawodowcy zarabiają bardzo przyzwoite pieniądze, stanowią swego rodzaju elitę, do której trudno się dostać.

W Polsce snooker, podobnie jak bilard, traktowany jest wciąż głównie jako sport barowy czy świetlicowy. Wielu ludzi nie widzi nawet różnicy między snookerem a bilardem. Owszem, w bardzo zamożnych domach do dobrego tonu należy posiadanie specjalnego salonu snookerowego i stołu za kilkadziesiąt tysięcy złotych, ale obawiam się, że ci, którzy do niego podchodzą, nie kontrolują białej ani nie grają odstawnych, raczej zakładają się o szklaneczkę whisky na kawałku lodu, czy w ogóle uda się trafić

do kieszeni (w snookerze są w stole kieszenie, w bilardzie mówimy o łuzach).

Gest Kozakiewicza na żywo

Zanim zaczęliśmy opowiadać o Michale Szubarczyku jako o przyszłym Ronniem O'Sullivanie, podobnego określenia używano przy nazwisku Antoniego Kowalskiego, pierwszego Polaka, który został mistrzem świata w rywalizacji do lat 16. Antoni wciąż jest młodym graczem, startuje w profesjonalnych turniejach, w rankingu snookerzystów obraca się gdzieś koło 100. miejsca. To już jest niezłe, do mistrza O'Sullivana trochę jednak brakuje.

Zawsze się cieszę, gdy młodzi ludzie znajdują jakąś pasję w życiu i w pełni się jej oddają. Uwielbiam parę moich fizjoterapeutów – Magdę i Konrada – którzy chodzą po górach, i to naprawdę wysokich, w Alpach, a zimą zawzięcie morsują. Zauważyłem, że pasja nie tylko nie przeszkadza im w wykonywaniu zawodu, ale przeciwnie, są w nim – mimo

nauczycielom, dowódcy plutonu w wojsku, przełożonym w pracy. Teraz, jak wiadać, nachalnie starałem się zasłużyć na pochwałę naczelnej naszego czasopisma, a jednocześnie wielkiej fanki snookera.

Nie znaczy to, że zawsze moje lizusowskie próby były udane. Tak właśnie zdarzyło się podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. Dział sportowy „Trybuny Ludu” reprezentowały tam dwie osoby: kierownik Andrzej Lewandowski i skromny młody dziennikarz, czyli ja. Wspólnie zajmowaliśmy pokój w nieistniejącym już, a podówczas najelegantszym hotelu w stolicy ZSRR, czyli Rosji. Starałem się być grzeczny, usłużny, tak aby w każdej chwili było wiadomo, kto jest szefem, a kto podwładnym.

Pewnego upalnego dnia doszedłem do wniosku, że powinienem zrobić coś więcej. Nasz program dnia wyglądał niemal identycznie. Ja biegałem po sportowych arenach, polowałem na sukcesy Polaków, żeby później najbarwniej jak potrafiłem opisać je swoim czytelnikom.



młodego wieku – tak dobrzy, że ustawia się do nich długa kolejka. (Chyba niechcący znów komuś się podliziałem).

Snookerowa pasja naszej młodej redaktor naczelnej także nie odbija się na zawartości prowadzonego przez nią czasopisma, co – mam nadzieję – doceniają Czytelnicy.

Sklonność do podlizywania się osobom wyżej postawionym ode mnie w hierarchii mam chyba w DNA. Od najmłodszych lat przypochlebiałem się

się kontrolować swojego szefa. Spotykaliśmy się dopiero wieczorem w hotelowym pokoju.

Jesiotr i stoliczna

Wykombinowałem sobie, że lizusostwa jest ciągle za mało. W celu nawiązania lepszych stosunków kupiłem w sklepie, w którym zakupy mieli prawo robić tylko goście igrzysk olimpijskich, płaty wędzonego na zimno łososia syberyjskiego i jesiotra. Ponieważ – jak mówią zarówno w Polsce, jak i w Rosji – rybka lubi pływać, zakupy uzupełniłem litrową butelką wódki Stoliczna.

Wszystkie skarby przyniosłem do hotelowego pokoju. Ryby elegancko pokroiłem w plastery, rozłożyłem na gazecie, obok butelki postawiłem kubki do płukania ust przyniesione z łazienki i czekałem. Czekałem i czekałem, ale szef nie przychodził. A mnie się chciało pić coraz bardziej.

W końcu pomyślałem – mówi się trudno. Otworzyłem drzwi na korytarz i postanowiłem, że jeśli przechodzić nim będzie któryś z polskich dziennikarzy, zaproszę go, żeby wpadł do mnie na jednego. Jak na złość kręcił się tam różni międzynarodowi reporterzy, ale naszego nie było. W końcu nie wytrzymałem i niemal siłą wciągnąłem do pokoju jakiegoś dziennikarza o mocno ciemnej karnacji. Murzyna po prostu, albo, żeby być w zgodzie z obecną poprawnością polityczną – Afroamerykanina. Afro to on był na pewno, ale Amerykaninem chyba nie, bo USA bojkotowały igrzyska w Moskwie w związku z najazdem ZSRR na Afganistan.

Posadziłem gościa w fotelu, napełniłem do pełna dwa kubki i pouczyłem go, co należy zrobić z ich zawartością. Ciemnoskóry gość zakrztusił się, ale na migi pokazałem mu, że złapie oddech po wypiciu drugiego kubka, który natychmiast napełniłem. Wypił i zasnął w fotelu, ale jakoś tak fikuśnie, z otwartymi oczami. W dodatku źrenice gdzieś się schowały i na czarnej twarzy świeciły tylko same białka.

Na to wszystko wrócił Andrzej Lewandowski.

– Co to jest? – zapytał groźnie.

– Nie co, ale kto – odparłem oburzony, bo już wówczas dbałem o pryncypia i stałem na stanowisku równości ludzi, niezależnie od rasy, wyznania i orientacji seksualnej. – To jest Murzyn – wyjaśniłem następnie. – Mój afrykański kumpel. Zaprosiłem go w ramach międzynarodowej przyjaźni z rozwijającymi się krajami Trzeciego Świata.

– Natychmiast proszę usunąć go z pokoju – polecił mi szef, a ja z trudem rozbudziłem swojego nowego druha i wyprowadziłem na korytarz.

Być może do dziś w jakimś odległym afrykańskim kraju mam bezimiennego przyjaciela, nie wiem. Natomiast stosunki między moim szefem a mną, zamiast zdecydowanie się poprawić, uległy znacznemu pogorszeniu. Już nawet nie pamiętam, czy Andrzej Lewandowski zgodził się dopić ze mną butelkę Stolicznej i skosztować pysznych wędzonych ryb. Chyba nie, i musiałem sam uporać się ze wszystkim, na co wskazywała nadzwyczajna ociężałość głowy następnego poranka.

Niechże ta historia będzie lekcją dla wszystkich lizusów. Lizusostwo jest bardzo pożytecznym, ale skomplikowanym zajęciem; trzeba wiedzieć, jak się do tego zabrać i jak skończyć. Mam nadzieję, że Agnieszka Wołk-Łaniewska po teście o snookerze napisze jednak plus przy moim nazwisku.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autoryzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 5.03.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Co?! – Sławomir Mentzen aż wstał ze zdumienia.

– Wystarczy kilka drobnych błędów podczas kampanii – ciągnął Mariusz Błaszczak – takich jak lekkie nadużycie alkoholu albo jakieś małe molestowanie seksualne czy mobbing.

– Małe molestowanie seksualne?! – Mentzen nie mógł przestać się dziwić. – Za kogo wy mnie macie?!

– Za rozsądnego człowieka interesu – odparł Błaszczak. – Przecież nie ma pan pewności pokonania naszego kandydata w pierwszej rundzie...

– Ale mam szansę. – Kandydat Konfederacji na prezydenta uśmiechnął się z wyższością. – Co raz większe szanse.

– Mimo wszystko powinien pan rozważyć naszą propozycję. Takiej kasy nie zarobi pan przez całe życie.

– Mam dosyć pieniędzy! Nie podłożę się dla paru złotych...

Błaszczak westchnął głośno.

– Po pierwsze, mało kto zrozumie to jak podłożenie się, a po drugie, dziesięć baniek to nie parę złotych – powiedział i przez moment pomyślał o tym, co sam gotów byłby zrobić dla takich pieniędzy.

– Jestem zmuszony odmówić – powiedział Mentzen. – Musicie znaleźć jakiś inny pomysł na sukces Nawrota.

– Doktora Karola Nawrockiego – poprawił Mentzena Błaszczak i wyszedł bez podania mu ręki.

...

Błaszczak pokręcił głową.

– Nawet nie chciał negocjować – rzekł. – Mówiłem, że to nie wypali.

– Trudno. – Prezes Jarosław Kaczyński podniósł głowę. – Przechodzimy do planu b. Jacek!

W bezszelestnie otwartych drzwiach stanął Jacek Kurski. Oczy mu błyszczały, a ręce świeżyły.

– Słyszałeś? – zapytał Kaczyński.

Kurski skinął głową.

– Wiesz, co robić?

Kurski pokazał zęby w czymś w rodzaju uśmiechu. Z otwartych ust zaczęła kapać mu ślina – jak bulterierowi.

Błaszczak był przerażony. Od dałby wszystko za to, żeby prezes nigdy nie poszczał na niego Kurskiego.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN jest oburzona zachowaniem Trumpa. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** raczej rozbawiona.

Wołk-Łaniewska: – A czego się spodziewałaś po amerykańskiej burżuazji? Że będzie uprzejma dla gości, bo jak się kogoś zaprasza do domu, nawet białego, to nie wypada na niego krzyczeć?

Senyszyn: – Bardzo jesteś uprzejma z tą burżazją. Z Trumpa wyszedł zwyczajny cham. A oburzam się, bo nawet chamstwo musi mieć granice.

– E tam, chamstwo z definicji polega na nieposzanowaniu granic. Dla mnie to był fascynujący spektakl z psychologicznego punktu widzenia. Otóż spotkało się dwóch facetów, którzy już od bardzo dawna od nikogo nie usłyszeli „nie”. To jak dwie diwy na czerwonym dywanie. Konfrontacja była nieunikniona. I moim zdaniem dobrze się stało, bo maski opadły. Zawsze mówiłam, że USA to imperium zła, i wreszcie nasz jedynie słuszny, postępowy komentariat się ze mną zgodził. Dziwna satysfakcja.

– Możesz się nie poczuwać, bo taki Kraśko czy Tusk bardzo są wstrząśnięci w ocenach Adolfa Trumpa, jak o nim piszą niektórzy.

– Ja jednak postulowałabym, żeby odpuścić *reductio ad Hitlerum*, bo w pełni zgadzam się z prawem Goodwina, które mówi tyle, że ten, kto pierwszy porówna przeciwnika do Hitlera, przegrywa dyskusję. Zresztą, awantura między Trumpem i Zełenskim to stary news. Zełenski już pokornie przeprosił za to, że tak nieuprzejmie zareagował na opierdół, i bardzo poprosił, żeby Trump jednak sobie wziął te ukraińskie minerały... Nowy news to wystąpienie Trumpa przed kongresem we wtorek. Oglądałaś?

– Nie do końca. Gadał jak potłuczony, więc wyłączałam.

– A ja się bawiłam jak dziecko. Zwłaszcza mnie ucieszyła wiadomość, że Joe Biden jest osobiście odpowiedziany za cenę jajek.

– To jak u nas Tusk za cenę masła...

– Poza tym Trump mnie wręcz rozcubił, gdy się skarżył, że demokraci mu nie klaszczą: „Mógłbym znaleźć lek na najbardziej wyniszczającą chorobę, doprowadzić przestępczość do najniższego poziomu w historii, a ci ludzie, co tu siedzą, nie wstaną i nie będą klaskać”... To głęboka krzywda, wyrządzona Donaldowi, który wszak tak kocha oklaski...

– I dlatego zapamiętał Dudę, który nie ma równych w podlizywaniu.

– Może niesłusznie z niego drwimy. Może Duda jako klasyczny samiec beta instynktownie czuje, jak postępować z narcyzami cierpiącymi na urojenia wielkościowe...

– Dr Kevin Dutton z Oksfordu ocenił Trumpa i kilka postaci historycznych za pomocą punkowego Inwentarza Osobowości Psychopatycznej obejmującego osiem cech. Są to: makiawelizm, wpływ na społeczeństwo, śmiałość, bezdusność, bez troska, odporność na stres, nonkonformizm, zrzucanie winy na innych. Na tej podstawie ustalił, że Trump, który uzyskał 171 pkt., ma więcej cech psychopatycznych niż Hitler, któremu Dutton przyznał tylko 169...

– No i znowu ten Hitler...

– To nie ja, to Dutton. Brytyjski badacz psychopatów. Nie on zresztą jedyny. Już w 2016 r., kiedy Trump startował po raz pierwszy, wybitni psycholodzy i psychiatrzy ostrzegali, że brakuje mu empatii i poczucia winy, jest niestabilny emocjonalnie, narcystyczny, bezwzględny, żądny ustawicznego podziwu... Wtedy osobisty lekarz Trumpa Harold Bornstein (ten od ujawnienia, że bujne włosy prezydenta są następstwem regularnego brania leków na prostatę) zapewnił, że Donald „będzie najzdrowszą osobą, jaką kiedykolwiek wybrano na prezydenta”. Fizyczne zdrowie faktycznie mu dopisywało, ale psychopatyczna osobowość ostro dała o sobie znać podczas pierwszej kadencji. Nie przywrócił Ameryce wielkości. Nie poradził sobie

z pandemią. Zwiększył obszary nędzy, redukując środki na rozbudowane przez Obamę programy wsparcia biedoty...

– I nadal to robi. Mój osobisty idol Bernie Sanders nagrał filmik na temat orędzia Trumpa z różnymi ciekawymi danymi. Np. nowy budżet redukuje środki na Medicaid o 880 mld dol., co pozbawi opieki zdrowotnej kolejne 36 mln Amerykanów. Z programu SNAP – czyli wsparcia żywnościowego – odciął 230 dużych baniek. Co nikogo nie powinno dziwić, zważywszy że w administracji Trumpa jest 13 miliardów. Oni raczej nie korzystają z bonów żywnościowych.

– Mnie zaintrygowała reakcja polityków republikańskich na scysję w Gabinetie Ovalnym. Czy też raczej jej brak. Tylko dwoje kongresmenów stanęło po stronie prezydenta Ukrainy. „Vanity Fair” napisało, że republikańscy politycy są, cytując: „obstrani ze strachu przed przemocą fizyczną ze strony zwolenników Trumpa”. Po prostu boją się, że Trump wskaże ich palcem i wtedy oni i ich rodziny nie będą bezpieczni, ich życie i zdrowie będzie zagrożone.

– Moim zdaniem całkiem zasadnie, jak wskazują doświadczenia z 6 stycznia 2021. Wracając do Polski...

– Do oceny polskich kandydatów na początek wystarczy polonista i logopeda. Te dwie pucie Nawrockiego przebijają nawet bełkot prezesa Kaczyńskiego.

– Nawrockiemu się chyba lekko pali pod ciucią, skoro goni go Mentzen, który ma za sobą 18 posłów. Nawiasem mówiąc, Mentzen był ostatnio w Polsce w rozmowie z red. Rymanowskim, który mnie całkowicie rozcubił. Wygłosił bowiem tonem pełnym oburzenia tekst następujący... Czekaj, zapisałam sobie: „Ale czy to nie oznacza czegoś przełomowego, jeśli chodzi o relacje międzynarodowe: że warunki dyktują silni, nie licząc się z małymi krajami?”... Że tak powiem po amerykańsku: helo! Gratuluję sportstrzegawczości... Nawiasem mówiąc, z pewnym skrupowaniem odnotowałam, że myślę o tym podobnie jak Mentzen.

– A jak myśli Mentzen?

– Że nie należy kucać przed Ameryką. Więc dla równowagi chciałam odnotować, że Mentzen łączy w sprawach znacznie ważniejszych niż przyjaźń z Wielkim Bratem. W Polsce opowiadał właśnie, że służba zdrowia działa tak marnie, bo nie ma w niej konkurencji i powinno być tak jak w Niemczech, gdzie są konkurencyjne ubezpieczenia zdrowotne... To jest moment, żeby przypomnieć, że ta formacja opowiada się za „weterynaryzacją służby zdrowia”, bo w leczeniu zwierząt wszystko działa zgodnie z regułami rynku i jest pięknie i kapitalistycznie. Z tym że jak masz kota z rakiem, to go usypiasz, a z babcią tak się jednak nie da... Inaczej mówiąc, chciałam w tym miejscu zaapelować do tych naszych Czytelników, którzy nie kochają Ameryki albo są – jak by to ująć – ukraińskojęzyczni, żeby posłuchali tego, co Mentzen mówi na inne tematy. Oraz, oczywiście, żeby zagłosowali na Joannę Senyszyn... A propos – jak kampania?

– Kampania jeszcze w powijakach, bo najpierw trzeba mieć 140 tys. podpisów i się zarejestrować. Ale wydarzyło się coś zabawnego: dostałam z sądu wezwanie do obowiązkowego stawienia się na rozprawie lustracyjnej w związku z kandydowaniem na prezydenta i złożeniem informacji, że odpowiednie oświadczenie złożyłam w 2007 r. w związku z kandydowaniem do sejmiku. Od tego czasu kandydowałam jeszcze dwa razy do sejmiku, raz do PE i raz do sejmiku. I teraz nie wiem, czego ode mnie chcą. Może mam lepsze notowania, niż podają, i strach wszystkich notowań, że jak wejdę do drugiej tury, to wygram?

– To jest interpretacja, która mi się bardzo podoba...

– W każdym razie zbieranie idzie naprawdę dobrze. Czytelnicy już przysłali mnóstwo listów...

– Za co serdecznie dziękujemy i prosimy nie ustawać w wysiłkach na rzecz „jedynie słusznej kandydatki” – jak napisał jeden z fanów.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI